TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 46. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 30 lipca / 11 sierpnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3 — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Leon hr. Łubieński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa — Kościół parafialny w Świnicach Wartskich (z drzeworytem.) — Bitwa pod Grunwaldem (z drzeworytem). — Gwiazda zaranna (z drzeworytem). — Scena do kwodlibetu p. t. Nowy teatr. — Chwila żartu i pustoty (z trzema drzeworytami) .— Szachy.— Rebus.— Adam Kisiel, wojewoda kijowski (dalszy ciąg).— Wspomnienia z wycieczek po Galicyi Bukowinie i Mołdo-Wołoszczyznie. — Nędza, poezya.— Korrespondencya od redakcyi. — Artykuł nadesłany. — Myśli oderwane. — Doniesienia.

Leon hr. Łubieński.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Leon hrabia Łubieński, syn jedyny generała Tomasza, b. senatora kasztelana, i Konstancyi z hrabiów Ossolińskich, urodził się w Sedan, w departamencie Ardennes we Francyi, dnia 27 lutego 1812 r.

Otrzymawszy troskliwe wychowanie w domu rodzicielskim, a następnie w szkołach w Krakowie, oddany został do liceum warszawskiego. Po złożeniu egzaminu dojrzałości (maturitatis) zapisał się na wydziały prawa, administracyi i filozofii w b. uniwersytecie aleksandryjskim.

W roku 1829 wyjechał do Szkocyi, gdzie słuchał kursów akademicznych w uniwersytecie edymburgskim i gdzie przy najchlubniejszych świadectwach, jako piérwszy uczeń w języku i literaturze łacińskiéj, otrzymał medal złoty. Rok 1832 przebył na akademii w Berlinie.

Za powrotem do kraju, wszedłszy w służbę cywilną, doszedł stopnia naczelnika w wydziale przemysłu Banku polskiego.

Oto jest krótki życiorys zmarłego w saméj sile wieku, bo w 49 roku życia, dnia 31 lipca r. b.

Wychowaniec b. uniwersytetu warszawskiego, zaczerpniętych tam wyobrażeń nie uronił w gwarze świata wyższego, w którym tak wybitnie jaśniał, ale je przechował w sercu swojém, a z niemi to wysokie pojęcie rzeczy publicznéj, które go przedewszystkiém odznaczało, i tę miłość nauk, którą zachował aż do zgonu.

W kole ludzi naukowych czuł się swobodniejszym, jako między umysłami pokrewnemi, umiał wywołać niejednę pożyteczną pracę, zachęcać nieśmiałych, podać rękę wątpiącym, a gromadzić usiłowania do jednego ogniska i celu. Przyjaciel i orędownik nauki, widział w niéj pociechę i ożywczą nadzieję naszego żywota.

W ciaśniejszych nawet szrankach życia, z dziwną trafnością umiał on działać skutecznie, a każdy krok swój naznaczał zasługą dla ogółu.

W społeczeństwie w którém wydatnieć mogły jedynie talent i praca pióra, pędzla lub dłuta, Leon Łubieński, nie będąc ani pisarzem, ani artystą, potrafił zdobyć sobie nietylko chlubne uznanie, ale zjednać powszechny szacunek.

Trafem urodzenia postawiony w kole zamożniejszego społeczeństwa, uznał jednak tę prawdę, że zasługi przodków są ich tylko własnością, że każdy drogą poświęcenia i zasług stąpać powinien; to téż sam sobie zdobywał nowe imię i stał się wzorem

LEON Hr. ŁUBIEŃSKI. (Podług fotografii Beyera.)

dla innych w pracy pożytecznéj.

Kiedy w roku 1840 powzięto myśl wydawania pisma poświęconego nauce, Leon Łubieński z całym zapałem stanął w gronie piérwszych założycieli Biblioteki warszawskiéj i był jednym z najczynniejszych jéj współredaktorów. W chwilach zwątpienia sam prawie zagrzany odwagą, nie ustawał i wytrwał na swém stanowisku, hojném wsparciem pieniężném, w czasie ogólnéj obojętności utrzymując pismo, do chwili swobodniejszego rozwoju.

Jemu zawdzięcza redakcya Biblioteki warszawskiéj wprowadzenie w kolumny swego pisma *Kroniki paryzkiéj literackiéj, naukowéj i artystycznéj*, która znalazła tak przychylne przyjęcie.

Ze szczególnym taktem umiał w domu swoim zgromadzać liczne grono ludzi, odznaczających się intelligencyą, a w gronie tém gospodarz utrzymywać potrafił owę jedność, która *porankom niedzielnym* Leona Łubieńskiego dawała barwę przyjacielskiego, rodzinnego kółka.

Jak serce miał otwarte wszelkim szlachetnym uczuciom, tak rękę hojną na wspiéranie wszystkich, co kiedy zapotrzebowali jego pomocy, a niósł ją nietylko czynem, lecz nadto radą i wpływami swojemi.

Społeczeństwo warszawskie, w którém wydatne a właściwe sobie zajmował stanowisko, traci wiele przez śmierć Leona Łubieńskiego; lecz więcéj jeszcze redakcya Biblioteki warszawskiéj, bo zgon niespodziewany wydarł jéj brata myśli i uczuć, współpracownika pełnego gorliwości i zapału.

W dniu 3 b. m. odbył się obrzęd pogrzebowy. O godzinie 6 wieczornéj z dolnego kościoła św. Krzyża członkowie redakcyi Biblioteki warszawskiéj wynieśli zwłoki zmarłego; — od kościoła księży karmelitów wyręczyli ich przyjaciele, krewni, i liczne grono kolegów. Karawan jechał próżny, i tak niesioną była trumna aż na sam cmentarz powązkowski. Kanonik kapituły metropolitalnéj, ksiądz Rzewuski, eksportował zwłoki, otoczony liczném duchowieństwem (1).

Kilka tysięcy osób towarzyszących zwłokom na cmentarz, najlepsze dawało świadectwo, ile śmierć nieprzewidziana i przedwczesna Leona Łubieńskiego wywołała smutku i żałoby, jak umiano ocenić jego zasługi dla kraju i społeczeństwa położone.

Kaźmirz Władysław Wójcicki.

(1) Nad grobem ś. p Leona długoletni towarzysz pracy zmarłego, autor niniejszego wspomnienia, w wymownym głosie oddał hołd należny jego pamięci. (Przyp. red.)

Kronika tygodniowa.

Zaledwie kilka słów zdołaliśmy umieścić w zeszłotygodniowéj kronice o śmierci hr. Leona Łubieńskiego. Dziś życiorys na czele Tygodnika umieszczony, daje ogólne rysy tego życia tak dobrze dla korzyści ziomków zapełnionego; dla nas pozostało zaledwie kilka drobnych szczegółów, z których korzystamy, bo ludzie tacy jak zmarły hr. Leon zasługują na różnostronną ocenę, bo ci którzy go znali, a była ich znaczna liczba, ci którzy choć zdaleka słyszeli o nim, długo jeszcze zajmować się będą wspomnieniem tego człowieka, którego niespodziana śmierć pozostawiła niezapełnioną próżnią nie w koteryjném kółku, ale w ogóle prac i usiłowań naszych. Odznaczał się on niemałém wykształceniem, bystrém pojęciem, dowcipem wielkim, wyborną umiejętnością ocenienia ludzkich potrzeb i sposobów zaradzenia im; odznaczał się przedewszystkiém brakiem wszelkiego rodzaju przesądów, przeciw którym wszyscy u nas deklamują, a niemal każdy im ulega, zasługa tém większa, że rodowe stanowisko hrabiego Leona i położenie jego w świecie utrudniały mu bardzo tę pracę jednoczenia i zgody, która była piérwszym i głównym celem jego życia. Wierzył w czyn więcéj niż w słowo, i przykładem stwierdzał to przekonanie swoje.

Trudno oznaczyć cyfrę pieniędzy, a co ważniejsza trudów, jakie zmarły hrabia Leon poświęcił na dobroczynne i użyteczne uczynki; a wspierał z troskliwą rozwagą, bacząc ażeby wsparcie które udzielał nie stało się marną zapomogą i trwałe przyniosło korzyści. Tak działając, nie dogadzał on chwilowemu usposobieniu, ani popędom miłości własnéj: pragnął być użytecznym z przekonania i był nim. Literatura nasza stała się głównem jego zajęciem; kochał ją i zespolił się na zawsze z tą najtrudniejszą może dla niéj epoką, prostując jéj drogi, uprzątając zawady, dodając popędu. Sam wysoko uzdolniony, mało z siebie wydawał. ale przyjmował wiele. Najulubieńszém jego czytaniem byli klassycy łacińscy. Przy rozdziale jaki istnieje jeszcze u nas pomiędzy ludźmi myśli i pracy, a tymi którym urodzenie i stanowisko w świecie nakazuje nieść tamtym pomoc i poparcie, stał się on niejako łącznikiem pomiędzy dwoma rozdzielonemi obozami. On sam, dom jego i ci którymi się najbliżéj otaczał, było to niejako neutralne pole, na którém najzawziętsi przeciwnicy podawali sobie ręce, by iść razem ku wspólnemu pożytkowi. Czyliż podniesie kto po nim to trudne zadanie, a co ważniejsza, czyliż mu podoła?

Obdarzony bystrą przenikliwością umysłu, poznawał wskróś ludzi za piérwszém niemal widzeniem, a zdając sobie jasno sprawę z wyobrażenia jakie o nich nabrał, umiał téż zwięźle a jasno wypowiedzieć to przekonanie swoje. W kilku słowach dawał dokładny obraz człowieka, rzadko się mylił, a zwykle uchwycał najjaskrawsze cechy. Sądy jego o ludziach były często złośliwe, co jest zwykłą wadą ludzi dowcipnych, nigdy jednak nie można ich było nazwać niesprawiedliwemi. Pamiętamy jak określił młodego człowieka, o którym najsprzeczniejsze krążyły zdania, któremu jedni przepowiadali w przyszłości wysokie umysłowe stanowisko, a drudzy zaprzeczali wręcz rozumu.

— To piwo nie wyszumiało się jeszcze, rzekł hrabia Leon, wyrobi się ono jednak z czasem, a jeśli będzie pracował wytrwale i kształcił się na téj drodze co dotychczas, może dojść do tego że będzie kiedyś kompletnie głupim.

Hrabia Leon był dowcipnym, to wszystkim u nas wiadomo; uważano go nawet w towarzystwie jako jedynego prawie przedstawiciela tak rzadkiego tutaj dowcipu. Znając jednak niebezpieczeństwo téj broni obosiecznéj, nie często jéj używał, nie uważał sobie za obowiązek zapełniać rozmowy temi ciągle błyszczącemi słówkami, które tak prędko się przejadają i nudzą najpobłażliwszych nawet słuchaczy. Dobrze to powiedziano, że niéma nieznośniejszych i nudniejszych ludzi, jak dowcipni z rzemiosła. Hrabia Leon nie był takim, u niego dowcip szedł z kształtu jaki chwilowo to lub owo pojęcie przybierało w jego umyśle; był on niejako pomimowolnym, a w żadnym razie wymuszonym i wyrachowanym na poklask. Dowcip zasadzający się na zręcznie opowiedzianéj anegdocie lub kłamstwie, najczęstszy może u nas, składał najdrobniejszą część daru hrabiego Leona. Że więc forma tych dowcipów była nowa i mało używana, obiegały one wszędzie, powtarzano je sobie z ust do ust i jeden nieraz na kilka tygodni starczył. Najgłówniejszym to przymiotem jego ucinków, że były wypowiadane w porę, a zgadzały się z opinią ogółu, będąc niejako jéj odbiciem. Już to żarliwie i gwałtownie nawet stawał przeciwko tym, którzy zdawali mu się ludźmi złéj woli w zamiarach lub skutkach, prześladował ich na każdém miejscu, siekł bez litości. Odważny zapaśnik, kiedy miał do czynienia z godnemi siebie przeciwnikami, głupstwu najczęściéj przebaczał, chociaż miał przyrodzony wstręt do niego. Bez litości dla pasożytnych roślin społeczeństwa, stawiał je pod pręgierz ogółu. Rzadko kiedy, rzadko z kim w dłuższą rozmowę się wdawał, a wtedy w słowach jego przebijał się głęboki sąd o traktowanym przedmiocie i jasne a sprawiedliwe widzenie rzeczy. W tak zwanéj konwersacyi salonowéj był nieporównany, chociaż odznaczający się dziwną oryginalnością wyrażeń. Kobiéty ceniły w nim bardzo tak rzadki teraz przymiot układności męzkiéj, zasadzający się na szacunku dla nich i lubowaniu się w ich towarzystwie; odgadywały one w nim prawdziwą wyższość, która potrafi się do każdéj nagiąć miary.

Nie należąc nigdy, nawet w czasach piérwszéj młodości swojéj, do tak zwanych świetnych salonowców, umiał jednak w salonach piérwszorzędne zająć miejsce. Tém ważniejsza to była oznaka uznania jakiém go otaczano, że rzadko kiedy naginał się do drobiazgowych wymagań towarzystwa. Żadne liczniejsze zebranie nie mogło się bez niego obejść; umiał je sam organizować, korzystając z każdéj sposobnéj chwili, żeby znaglić przedstawicieli ogółu do oddania hołdu każdéj indywidualności zasługującéj na to. Należał do wszystkich ważnych i użytecznych instytucyj, a w wielu razach piérwsze miejsce trzymając, dokonał jednak tego, że mu nikt nie zazdrościł ani nie czynił zarzutów, potrafił się bowiem zastosować do każdego grona i wszędzie stać się koniecznym. Ta przecież umiejętność przybierania na siebie różnych pozorów, przy zostaniu jednak samym sobą, nie szła wcale z wyrachowania, ani z chęci zjednania sobie stronników, ale z właściwéj mu ruchliwości i giętkości charakteru, umiejącego wynaleźć w każdéj sferze sympatyzujące z sobą żywioły. Chociaż ludzie wyżsi duchem, a dowcipni w słowach, miewają zwykle licznych nieprzyjaciół, hrabia Leon umiał uniknąć tego szkopułu, a szło to właśnie z przytoczonego wyżéj powodu. Jego śmierć w wielu miejscach spowoduje próżnią długo niezapełnioną; dopóki żył, nie umieliśmy dokładnie ocenić jego działalności, ale poznajemy jak był potrzebnym i użytecznym, gdy nam brak jego opłakiwać przychodzi.

Z wielką przyjemnością dowiedzieliśmy się z artykułu w Gazecie Codziennéj umieszczonego, że istnieje w Warszawie pan Adam Słoński kupiec, który utrzymuje, że zaopatrywanie się w zdawkową monetę nie jest obowiązkiem handlujących, że grzeczność względem kupujących jest zbyteczną, a kredyt nie powinien istnieć w handlu, i który przytém niebardzo gustuje w naszych kronikach tygodniowych. Jeżeli to przekonanie p. Słońskiego podoba się przychodzącym do jego handlu po towary, to i my nie mamy przeciw niemu nic do zarzucenia; radzimy mu jednak żeby trzymając się właściwéj sobie drogi, nie puszczał się w zawód literacki, który, rokując po piérwszéj próbie, nie wróży mu wielkich powodzeń. Wątpimy téż żeby znakomitsi przedstawiciele warszawskiego kupiectwa, w imieniu których auotr artykułu się odzywa, a którzy po większéj części grzeczność dla publiczności kupującéj uważają za rzecz konieczną, przyklasnęli jego twierdzeniu i sposobowi w jaki ono wyrażone zostało. Ponieważ zaś pan Słoński żąda od nas instrukcyi czém jest porządna osoba, oświadczamy, że porządna osoba powinna być przedewszystkiém osobą grzeczną.

Kilkakrotnie pisma publiczne donosiły w tych czasach o przypadkach zatonięcia, które mają miejsce z powodu niestosowania się publiczności do rozporządzeń policyjnych i niekąpania się w miejscach umyślnie na ten cel wytkniętych. Ale czasami inny jeszcze bywa powód takich wypadków. Umiejętność pływania jest u nas dość rozpowszechnioną; lecz niektórzy, pragnąc popisywać się z tą umiejętnością, stają się samowolnie przyczyną wypadków zagrażających ich zdrowiu, a nawet narażających na utratę życia. Świéżo teraz miało miejsce jedno z takich nieszczęśliwych wydarzeń, a stało się to właśnie w miejscu bardzo uczęszczaném, w obecności innych pływaków, których gorliwa chęć ratunku okazała się daremną. Było to podobno uderzenie krwi w wodzie, z powodu niezręcznie uczynionego skoku. W ogóle we wszelkich takich skokach należy być ostróżnym, łatwo bowiem rozbić głowę lub piersi, co się zdarza nawet wytrawnym pływakom, a tém bardziéj tym, których odwaga i chęć popisywania się większą jest od umiejętności. Pływanie należy do rzeczy użytecznych, koniecznych nawet, ale użyte być powinno w miarę potrzeby i przyjemności, nie zaś dla marnego popisu, który często wyradza chęć współzawodnictwa, zwykle tu szkodliwą.

Początek bieżącego tygodnia posłużył lepiéj jakoś żniwom. Robota w polu szła szybko i z wielu miejsc doszły nas wiadomości o bardzo wielkiéj w tym roku wydajności zboża przy młóceniu. Wszystkie te jednak wiadomości pochodzą od Warszawian naszych, którzy porozjeżdżawszy się po wsiach, starają się teraz przed nami profanami popisywać ze swojém znawstwem gospodarskiém, wyręczając w tym względzie obywateli wiejskich, którzy zbyt są zajęci żeby się mieli bawić w listowanie. Warszawianin na wsi mógłby być przedmiotem do niejednego zajmującego artykułu.

Niestety, wiem ja dobrze iż nam, przywykłym do bruku i dymu miejskiego, niełatwo przychodzi wtajemniczać się w arkana trudnéj i pracowitéj, dziś zwłaszcza w stokroć trudniejszéj i pracowitszéj aniżeli dawniéj, nauki gospodarczéj. Niejednokrotnie słyszałem obywateli naszych wiejskich, żalących się na warszawskich teoretyków, którzy przy zielonym stole rozprawiają o nowych odkryciach i zastosowaniach, nie bacząc że wszystko to w praktyce inną zupełnie przybiéra postać. Zdaleka więc tylko i ostrożnie dotykamy kwestyj rolniczych i przemysłowych, zadowoleni jeżeli kiedybądź przyjdzie nam donieść o jakiéj nowości użytecznéj dla naszych wiejskich czytelników. Taką nowością, o któréj zapewne z zajęciem czytać będą obywatele okoliczni, jest przeniesienie z Żyrardowa pod Rudą guzowską do Tarchomina, znanego zakładu chemicznego pana Ludwika Spiessa. Zakład ten, znacznie powiększony, zajmować się będzie produkcyą przedmiotów agronomicznych, i na ten cel wyłącznie zaprowadził machinę parową z zakładów krajowych hr. Andrzeja Zamojskiego.

Kiedyśmy weszli na trop przemysłowy, musimy udzielić ogółowi wiadomość o jedném jeszcze bardzo użyteczném a korzystném przedsiębierstwie, które tutaj łatwo dałoby się wprowadzić w życie. Rozmawialiśmy niedawno z pewnym technikiem; żalił się bardzo na brak śmiałości w przedsiębiercach naszych, i przytoczył między innemi, że łatwo byłoby założyć w kraju fabrykę żelaza, któraby zakupowała wszelkie niepotrzebne kawałki tego metalu i takowe za pomocą osobnego przyrządu przerabiała na żelazo, mogące pod względem gatunku i zdatności do wyrobu walczyć śmiało o piérwszeństwo z najlepszém i najczystszém tutaj produkowaném. Nie będziemy się rozwodzić nad sposobem urządzenia téj fabryki: rzecz to łatwa i prosta, a nawet niebardzo kosztowna, bo głównym podobno przyrządem jest wielki młot parowy, mogący być sprowadzonym z zagranicy. To tylko pewna, że stare żelaztwo o którém mówiliśmy, zakupywane po różnych miejscach przez starozakonnych, wyprowadzane bywa hurtownie do Anglii, i tym sposobem rok rocznie kraj nasz ponosi niemałą stratę, pozbawiając się bardzo szacownego materyału. Taka fabryka żelaza, zużytkowując na miejscu wszystkie te materyały, przy zapewnieniu sobie znacznéj korzyści, dopomogłaby do podniesienia téj części ruchu handlowego u nas. Na akcye łatwo to dałoby się urządzić, a zdaje mi się że spory zysk jaki przyniosły już przedsiębierstwa wspólnemi siłami podejmowane, powinienby wpłynąć skutecznie na zmniejszenie wstrętu do wszystkich akcyj i współek, od których dotąd chroniono się tu i uciekano, jak gdyby od wilkołaków.

A teraz zamierzam wdać się trochę w historyą naturalną i powiem wam coś o słoniach. W pewném miejscu rozmawiano o tych tyle interesujących zwierzętach, którym, jak wiadomo, powietrze warszawskie

wcale nie służy, bo w ostatnim dziesiątku lat aż troje z nich dostało tu pomięszania zmysłów.

Ktoś rzucił pytanie, wiele funtów pożywienia słoń skonsumować może przez dobę. Jakiś przypadkowy naturalista odpowiedział że pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt, to zbyt wiele, rzekł na to pytający, zwracając się do przytomnego temu professora; zdaje mi się że to przesada.

— Tak i mnie się zdaje, odpowiedział professor; ale to może hiperbola.

— No, hiperbola, zapewne—odparł znowu piérwszy; hiperbola wierzę że zjé dziennie pięćdziesiąt funtów, ale na słonia to za wiele.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W ŚWINICACH WARTSKICH.

Naród nasz odznaczał się zawsze chwalebną troskliwością o świątynie Boże i ich ozdoby. Nietylko już w stolicy i większych miastach, ale w miasteczkach i wioskach widzimy wiele odnowionych, wiele odnawiających się, a nawet i nowo wznoszonych kościołów. Do tych ostatnich należy kościół nowo z fundamentów wymurowany w Świnicach Wartskich, którego krótki opis niech będzie świadectwem chwalebnych chęci naszéj społeczności.

Założycielem parafii świnieckiéj i fundatorem kościoła, był Jakub Świnka, arcybiskup gnieznieński, dziedzic dóbr Świncze (Świnice) przy końcu XIII wieku. Kościół piérwotnie wystawiony był z drzewa modrzewiowego, a podtrzymywany od czasu do czasu, przetrwał aż do roku 1828. Wtedy to, gdy się okazał niezdatnym już do reperacyi, parafianie ze wspólnych składek wystawili obok dawnego nowy, drewniany kościołek, którego budową zajmował się Kacper Byszewski, dziedzic wsi Wola Świniecka. Ale niedługo nim się cieszono; bo w kilkanaście dni po poświęceniu, przez pożar wynikły w poblizkiéj chałupie, wraz ze starym, jeszcze w ówczas nierozebranym kościołem, w perzynę zamieniony został.

Przez trzydzieści lat następnych, pomimo starań i zabiegów kilku gorliwszych o chwałę Bożą mieszkańców, parafia pozbawioną była kościoła, a nabożeństwo w lichéj tylko odprawiano szopie, tymczasowie na ten cel wystawionéj.

W roku 1856 nabył dobra te p. Kaźmirz Karwowski, i w następnym zaraz roku, z bardzo szczupłemi funduszami, ufny jedynie w pomoc Bożą, a wytrwałością i dobrą chęcią uzbrojony, rozpoczął budowę kościoła. To téż kiedy mury jego ukończone zostały, a funduszu na wewnętrzne urządzenie nie dostawało, natchnął Bóg serca okolicznych mieszkańców, którzy składając datki na ręce miejscowego proboszcza, przyczynili się do jego wykończenia. Za zezwoleniem więc j. w. biskupa dyecezyi kujawsko-kaliskiéj, odbyło się tymczasowe poświęcenie nowéj téj świątyni, a dzień 5 maja r. z., jako rocznicę przypadającego odpustu św. Gotharda patrona parafii, przeznaczono na tę ceremonią.

Radosny to był dzień dla parafian świnieckich i długo w pamięci ich pozostanie. Ledwo ranek zajaśniał, tłumnie zbiegli się ze wszystkich stron mieszkańcy, nietylko parafii, ale i okolicznych wiosek, a każdemu świeciła łza rozczulenia w oku, każdemu serce biło radością.

O godzinie dziesiątéj celebrant, ksiądz Michał Szulc kanonik katedry włocławskiéj, regens kancellaryi biskupiéj, przystąpił do poświęcenia kościoła, przy którego zamkniętych jeszcze podwojach przemówił do zgromadzonego ludu miejscowy proboszcz, wystawiając nieograniczoną dobroć i miłosierdzie Boże, zachęcając do wdzięczności ku Bogu, do pobożności i gorliwości w wierze. Po odbytéj ceremonii, przemówił już w nowym kościele z ambony ksiądz Władysław Polkowski, kanonik kaliski, proboszcz Góry św. Małgorzaty, a w słowach pełnych religijnego namaszczenia, wytłumaczywszy znaczenie tego obrzędu, wykazał potrzebę wspólnéj modlitwy w domach Bożych i uszanowania tychże, zakończył zaś krótką lecz rozrzewniającą odezwą do kollatorów, oraz tych wszystkich, którzy datkiem lub pracą przyłożyli się do wzniesienia tego przybytku świętego. Następnie rozpoczęła się summa z kazaniem odpustowém, a nieszpory zakończyły ten dzień uroczysty dla parafian.

Kościół w Świnicach jest jednym z piękniejszych kościołów wiejskich, stawiany podług rysunku i pod kierunkiem p. Janiszewskiego, budowniczego powiatu kaliskiego. Oprócz wielkiego ołtarza, ma jeszcze dwa boczne, św. Kaźmirza po prawéj i św. Józefa po lewéj stronie nawy kościoła. Wielki ołtarz cały i boczne w części ozdobione są snycerską robotą. W wielkim ołtarzu umieszczony jest wizerunek Najśw. Maryi Panny częstochowskiéj. Nad tym obrazem znajduje się mniejszy, przedstawiający św. Gotharda, patrona parafii, na zasuwie zaś obraz olejny na drzewie: chrzest Pana Jezusa. W bocznych ołtarzach obrazy św. Kaźmirza i św. Józefa, olejno na płótnie malowane, sa pędzla p. Stanisława Janusiewicza, który całe upiększenie i ozdobienie wnętrza starannie i gustownie wykonał. Do zupełnego ukończenia kościoła brakuje jeszcze organów, lecz przy pomocy Bożéj i dobrych chęciach serc pobożnych, mamy nadzieję że i te niezadługo może wtórować będą hymnom i pieśniom, na cześć Najwyższego śpiewanym.

Ks. W.

BITWA POD GRUNWALDEM.

Dnia piętnastego lipca mieliśmy rocznicę pamiętnéj w dziejach naszych bitwy z Krzyżakami pod Grunwaldem (1410 r.), w któréj Władysław Jagiełło, na czele zastępów polskich i litewskich, złamał potęgę dumnego zakonu. Upłynęło właśnie półpięta wieku okrągło, jak wieść radosna przebiegła od morza do morza, od grodów wielkopolskich do zapadłych puszcz Litwy i Żmudzi, o wielkiém zwycięztwie. I odtąd w staréj stolicy rzeczypospolitéj rok rocznie przez cztéry blizko wieki, bo przez lat 386, uroczyście obchodzono 15 lipca, jako dzień tryumfu i chwały, processyami ze wszystkich parafij krakowskich, do kościoła św. Jadwigi na Stradomiu, gdzie odprawiano solenne nabożeństwo, dziękując Bogu za daną przewagę orężowi naszemu. (1)

W przeddzień bitwy, w poniedziałek 14 lipca, przeszła burza nad tém polem bojowém: straszna wichura z poświstem zmiatała tumany piasku, niosąc je na obóz krzyżacki, jakby zapowiadała im klęskę dnia następnego. Namioty ich strojne padły na ziemię, wyruszone siłą wiatru z posad swoich; konie spłoszone rozbiegły się po szérokiém polu; popłoch nieopisany był w obozowisku, do którego zbiegły się z całych Niemiec tłumy w żelazo okutych rycerzy, na pomoc swéj braci zakonnéj, co rozwijała chorągwie krzyża nie przeciw poganom, ale przeciw dobroczyńcom swoim, którzy im dali ziemię i przytułek.

Burza nie ustawała: czarnemi chmurami bałwaniło się niebo, i przy pogwiździe wiatru gwałtownego, zwolna zbliżały się hufce polskie na oznaczone stanowiska.

W dzień wtorkowy, w dzień pamiątki rozesłania apostołów, piérwsze chorągwie nasze stanęły na bojowisku. Rozległa była to okolica, dąbrowami opasana w około; przy zielonych pagórkach szerokie rowy, pole porosłe krzakami po wyciętych borach, a przy nich nizina zielona, do pięciu mil rozciągnięta.

Tu założono obóz polski; na téj nizinie stanęły hufce litewskie, pod wodzą Witolda.

Naprzeciw wyniosła i obszerna góra, dębiną przerastająca: z wierzchołka jéj całą okolicę snadno przejrzéć można. Tu położył się obóz krzyżacki, tu rozbito namioty, które zabezpieczono płotem z łańcuchów żelaznych, kobylic i rożnów przed natarciem jazdy.

Pod wsią Grunwaldem rozkazał Władysław Jagiełło rozbić swój namiot i w nim pobożnie słuchał mszy świętéj, a co chwila nadbiegało rycerstwo, dając znać o blizkości nieprzyjaciela. Zwolna hufce polskie stanęły na stanowiskach i Witold na prawém skrzydle uszykował cztérdzieści swych chorągwi.

Miecznik krakowski *Zyndram Maszkowski*, jako hetman pięćdziesięciu jeden chorągwi polskich, stał już gotowy, postawiwszy na czele chorągiew ziemi krakowskiéj, którą niósł *Marcin Wrocimowski*. W zastępach litewskich stały hufce książąt ruskich i tatarskie cara Zawolskiego, jak w polskich chorągiew czeska, którą sprawował *Jan Jenczyk Morawiec* herbu Odrowąż, którego ojciec wyprawił na pomoc Władysławowi Jagielle. W tym hufcu był także sławny późniéj *Zyszka*, który w dziejach czeskich tak znakomite zajmuje miejsce.

Na widok zastępów polskich stojących w ordynku, powstał okrzyk wojenny w obozie krzyżackim. Lśnią blaskiem pancerze ich stalowe i przyłbice nabijane złotem i srébrem; rżą rosłe rumaki pod kosztownemi dekami, okryte zbroją równie jak ich jeźdzce; giermkowie za każdym rycerzem celniejszym i komturem, w jedwabne, bogato wyszywane szaty przybrani, niosą oszczepy, długie kopije i ozdobne herbami tarcze. Stanęli i oni w gotowości do boju; przednie straże wyruszyły naprzód.

Jagiełło w namiocie słuchał nabożeństwa, gdy Witold, widząc zbliżającą się chwilę boju, przybiega doń, a wołając ażeby zaprzestał pacierzy, ruszył ku swoim chorągwiom.

Król po mszy wsiadł na cisawego rumaka, a objeżdżając hufce zbrojne, zachęcał do męztwa, wyliczając krzywdy jakie ponosi rzeczpospolita od Krzyżaków, i że tenkrwawy bój, który wkrótce zawre, z ich tylko pochodzi przyczyny.

Wtém dają znać Jagielle, że z obozu zakonu przybywają posłowie. Byli to dwaj w zbroicach Krzyżacy z tarczami: na jednéj godłem orzeł czarny dwugłowy, gryf na drugiéj.

Gdy przywiedziono ich przed monarchę, przemówili w te słowa:

„Sławny królu! Mistrz pruski Ulryk przysyła ci oto dwa miecze, tobie jeden a bratu Witoldowi drugi na pomoc, abyś z sobą nie trwożył, a śmiele się potykał. Jeśli ciasne masz pole, chce-ć ustąpić swego miejsca.“

Jan Mężyk Wadwic z orszaku Jagiełły wytłumaczył przemowę zuchwałą posłów niemieckich. Wtedy król, z pokorą westchnąwszy ku Panu Bogu, rzekł:

„Aczci mieczów mamy dostatek, wszakże i te weźmiemy, które nam się mogą przydać na waszego mistrza. Bóg ci to najlepiéj wié, żechmy skłonniejsi byli ku pokoju z nim zawzdy, aniż ku wojnie. Ale kiedy tak bardzo pragnie krwi naszéj, cóż rzec? Nie wątpię nic w tém, że Pan Bóg przy sprawiedliwości naszéj stanie, a onego za ten przepych skarze.“ (Marcin Bielski. Kronika).

I kazał wziąć one miecze od nich i przechować w skarbcu.

Król z dobranym hufcem, pod chorągwią mniejszą koronną, stanął na uboczy. W orszaku jego byli: młody *Ziemowit* książę mazowiecki; *Zygmunt Korybut* i *Fieduska* książęta litewscy; podkanclerzy *Trąba*, *Jan Mężyk Wadwic*, *Zbigniew Oleśnicki*, *Jan Solawa Czech*, *Bieniasz Wierusza*, *Piotr Madaliński*, *Zbigniew Czajka*, który drzewce (lance) za królem nosił i wielu innych (M. Stryjkowski). Według dawnego zwyczaju, Polacy chórem zaśpiewali pieśń *Boga Rodzica*, i zaraz uderzono w trąby i bębny, dając hasło do boju.

Krzyżacy, odpowiedziawszy zuchwałym wrzaskiem z wyniosłéj góry, dali ognia z dwóch dział swoich; ale kule zgórowały bez szkody. Po wystrzałach zaczęli się zwolna spuszczać na równinę, gdy chorągwie rycerskie polskie, nie bacząc na korzystniejsze dla wrogów pole, rzuciły się z kopyta i wsparły ich na miejscu. Bój zażarty trwał godzinę, przy grzmocie i chrzęście szabli i zbroi, przy trzasku druzgotanych kopij.

Krzyżacy, widząc tak silny opór w Polakach, rzucili całą potęgę jazdy swéj na prawe skrzydło nasze, gdzie stali uszykowana Litwa, Rusini, część hufców czeskich i Tatarowie.

Przed kolumnami w żelazo okutych Krzyżaków, pędzących cwałem, w lśniących pancerzach i hełmach, pod któremi głuchym stękiem zajęczała ziemia, nie dotrzymała skórą z dzikiego zwierza okryta Litwa, w strzały tylko i lekki oręż zbrojna. Piérwsze uderzenie wytrwała dzielnie, ale złamana naciskiem przeważnéj broni, pierzcha na spłoszonych koniach; za nią uchodzą Rusini, Tatarzy, i Czechy. Daremnie usiłuje swoje chorągwie mężny Witold nawrócić: głos jego prośby, rozkazu i przekleństwa ginie w okrzyku trwogi. Wszystko ucieka w nieładzie, a wielu nie oparło się aż na ziemi litewskiéj, gdzie wieść o zwycięztwie Krzyżaków i o śmierci Jagiełły roznieśli.

Klęska prawego skrzydła naszych byłaby zupełną,

(1) Kościół ten zaczęty był przez Kaźmirza Wielkiego w r. 1361. Elżbieta siostra jego, żona króla węgierskiego Karola andegaweńskiego, sprowadziła do niego z Miechowa Stróżów grobu Chrystusa Pana, którzy go ukończyli. Po zniszczeniu przez Szwedów, odbudowany w r. 1674. W r. 1795 kościół ten, wraz z klasztorem i szpitalem, na dom celny przemurowano.

gdyby nie bohatérskie trzy chorągwie: smoleńska, wileńska i trocka, które dotrzymawszy pola, z boku uderzyły i zmusiły zwycięzkie hufce zakonu do cofnięcia się.

Równocześnie straszny okrzyk powstał w środkowéj armii polskiéj. Upada chorągiew wielka koronna, Niemcy ją zdobyli. Na ten widok zemsta zapala serca naszego rycerstwa: piérwsi Sieradzanie uderzają z niesłychanym zapałem, za nimi inne hufce nasze. Bój tu wre najkrwawszy, bo idzie o najdroższe godło narodowe. Złamani Krzyżacy uchodzą; chorągiew im wydarto, a gdy powiała znowu wspaniale ponad dzielném rycerstwem, powitał ją gromki okrzyk radości, który echo po całém rozniosło polu.

Widząc pogrom litewski, podkanclerzy Trąba ruszył z hufcem świeżym na pomoc trzem chorągwiom: wileńskiéj, smoleńskiéj i trockiéj, z których już jedna, mężnie dotrzymując pola, gęstym trupem upadła. Przebywając las, spotyka zastęp rozpierzchłych Czechów, z wodzem ich Janem Żarnowskim. Oburzony podkanclerzy tchórzostwem nikczemném, nie pożałował im słów obelżywych. Czesi, poruszeni zniewagą, złożywszy winę na dowódzcę, zbierają się, łączą z hufcem Trąby, razem z nim uderzają z boku na Krzyżaków, a złamawszy ich szyki, podają bratnie dłonie bohatérskim chorągwiom Smoleńszczan i bitnym Litwinom.

Już słońce dobiegało południa, gdy w połączeniu uderzył huf ten na znużonych walką Krzyżaków i zupełnie ich rozgromił. Kilkudziesiąt komturów padło trupem, a wielu pochwytanych w niewolę, związanych, pędzono na długich smyczach surowcowych.

Wiatr gwałtownie szumiący z ponurym pogwizdem ucichł, dészcz drobny a gęsty pokropił dobrze ziemię, tumany piasku opadły i kurzawa znikła. Rozpogodziło się niebo, orzeźwiało duszące powietrze, a śliczna tęcza, z brunatnym łukiem, zajaśniała od strony dąbrowy, gdzie stał król Jagiełło ze szczupłym hufcem swoim. (M. Stryjkowski.)

Piérwsze zastępy Krzyżaków zgromiono: uderzyły drugie.

Witold zebrał chorągwie swoje rozpierzchłe; od gęstych strzał litewskich, aż cień pada na bojowisko. Krzyżacy całą siłę ataku wymierzają na te chorągwie. Świst strzał, łoskot roztrzaskanych drzewców, szczęk szabel, chrzęst stalowych zbroi, mięsza się z okrzykiem wojennym, z odgłosem trąb i kotłów. Mężna Litwa, krwawym potem zlana, ujrzawszy upadającą wielką swą chorągiew ze świętym Jerzym, zwolna zaczyna ustępować z pola, kiedy Witold wyprowadza nowe hufce Nowogrodzian i Wołyńców; za nimi w pomoc spieszą Łęczycanie, Kujawiacy; książęta mazowieccy wiodą Płocczanów, Warszawiaków i Rawianów. Zastępy te łamią szeregi żelazne Krzyżaków. Skarbek chwyta w niewolę księcia szczecińskiego, który częścią ich dowodził. Popłoch powstaje, ustępują gromadnie; ale w téj ucieczce więcéj ginie nieprzyjaciół, niż w otwartym boju, bo jazda polska dojeżdza na karku, a nie mogąc szkodzić w żelazo okutym Krzyżakom, długiemi drzewcami kole i przebija konie, które padając zwalają i gniotą własnych jeźdźców.

Z wyniosłości góry widzi klęskę swoję mistrz wielki i wódz naczelny. Daje znak: uderzają w trąby i kotły; szesnaście chorągwi spuszcza się ze strasznym wrzaskiem, przy huku rusznic ognistych.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W ŚWINICACH WARTSKICH.

Polacy, zmęczeni bojem, widzą że przyszła stanowcza chwila, która rozstrzygnie zwycięztwo.

Wielki mistrz *Ulryk von Jungingen* prowadzi ten groźny zastęp, który po tętniącéj od kopyt ziemi, leciał właśnie w onę stronę, kędy był król ze szczupłą strażą swoją.

Posyła w tak nagłym razie Jagiełło Zbigniewa Oleśnickiego do blizkiéj nadwornéj chorągwi, z rozkazem aby mu w pomoc biegła. (Długosz ks. 11ta). W téj właśnie chwili gotowała się ona do spotkania z Krzyżakami; gdy więc przyskoczył tam Zbigniew, dowódzca jéj, *Mikołaj Kiełbasa*, dobywając miecza kazał mu się cofnąć.

— Czy nie widzisz, nieszczęśliwy, zawołał, jak idzie na nas nieprzyjaciel, a chcesz nas zmusić abyśmy odstępując walki, biegli na obronę króla? Cóż to będzie znaczyć, jak chyba że uciekamy z pola, a tył wrogom podając, nietylko nas, ale i samego króla w najjawniejsze podamy niebezpieczeństwo.

Młody Zbigniew, szukając nadaremnie pomocy, wrócił do króla, zdając mu sprawę, że próżno i innych chorągwi wzywać wsparcia, bo wszystkie w gorącym opale. Dowódzcy przeto przybocznéj straży kazali coprędzéj zwinąć powiewającą przy królu mniejszą chorągiew, aby nie wydać wrogom jego stanowiska, i ścisnęli szereg, zakrywając własném ciałem osobę monarchy. Ale Jagiełło nie mógł znieść dłużéj bezczynności, pragnął udziału w téj krwawéj walce. Przybrany w lśniącą zbroję, w ozdobnym hełmie, spinał cisawego rumaka ostrogami, a gdy jeden z przybocznych schwytał za uzdę jego wierzchowca i przytrzymał, król uderzył go żeleźcem swéj kopii. Wszyscy jednak stanowczo oświadczyli, że gotowi zginąć, ale nie dozwolą mu narażać życia.

Mikołaj Kiełbasa dzielnie się sprawił z chorągwią nadworną; po uporczywym boju, zastęp Krzyżaków odparł i do ucieczki zmusił. Z tego oddziału olbrzymiéj postaci Krzyżak, *Dippold Kiekeritz von Dieber* z Lucacyi, cały okryty żelazną zbroją, ozdobiony pasem złotym przez ramiona, w białym płaszczu, postrzegłszy króla, przebił się naprzód na gniadym rumaku, a potrząsając kopiją, rzucił się wściekle w tę stronę. Jagiełło gotował się sam go przyjąć; kiedy Zbigniew Oleśnicki, złamany tylko drzewiec ściskając w dłoni, uderza z boku na pędzącego Krzyżaka i silném pchnięciem zwala go na ziemię. Spadł Dippoldowi szyszak z głowy, gdy Jagiełło uderzył go kopiją w czoło. Straż przyboczna dobija mężnego Krzyżaka, który tym zuchwałym czynem imię swoje uwiecznił w dziejach.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO POD GRUNWALDEM.

Cały zastęp wielkiego mistrza, tak groźny przed chwilą, rozbity, legł trupem, lub poszedł w łyka niewoli. Sam Ulryk, od prostego draba oszczepem przebity, poległ.

Z ogólnego pogromu uciekł w lasy komtur *Werner Tetinger*; niedobitki schroniły się do warownego obozu, chcąc w nim znaléźć ocalenie. Ale daremny opór stawiali; z za wału wozów, spiętych grubemi łańcuchami, zdobyto tabor i w pień wycięto wszystkich.

Beczki z winem, przygotowane do zwycięzkiéj uczty, Jagiełło kazał rozbić, i obfite strugi drogiego trunku, zmięszane z krwią pięciudziesięciu tysięcy poległych Krzyżaków, spłynęły potokiem na pola Grunwaldu.

Król, po odniesioném zwycięztwie, dał rozkaz, aby uderzono w trąby, na znak żeby każdy stawał pod swą chorągwią. Zebrano jeńców 40,000, między tymi 300 komturów i celniejszych Krzyżaków. Przywiedziono zdobyte dwa działa, pięćdziesiąt dwie chorągwie i zbroi moc wielką. W obozie znaleziono pełne wozy płótna smołą napuszczanego, a przy nich mnóstwo przygotowanych łańcuchów, powrozów i pęt, któremi spodziewali się dumni Krzyżacy krępować

ręce niewolników polskich. Rycerstwo nasze zdobyło bogate łupy w złotych i srébrnych łańcuchach i sprzętach, w kosztownych zbrojach i broni, w szatach jedwabnych i wełnianych.

Kronikarze nie podają liczby poległych Polaków i Litwy; wszelako, miarkując z krwawego boju i walki tak zawziętéj przez dzień cały, musiało zginąć niemało, równie jak ponieść ciężkie blizny. Ze znaczniejszéj szlachty dwunastu tylko zabitych wspominają, między tymi: *Jakubowskiego i Czulickiego.*

Z nadejściem wieczora trzeba było opuścić to mordercze pole, zasłane trupami. Ruszono ćwierć mili na północ ku Malborgowi i rozłożono obóz nad brzegami jeziora, gdzie znużony król legł na spoczynek pod krzakiem bzu, na posłaniu z liści klonu i jaworu.

Noc jasna była i pogodna, księżyc na bezchmurném niebie przyświécał. Przy śpiącym Jagielle, sam tylko na straży czuwał młody i dzielny Zbigniew Oleśnicki, z tém samém złamaném drzewcem, którém zwalił Dippolda, co zagrażał życiu króla.

Nazajutrz, równo ze dniem, zerwał się na nogi Jagiełło, odetchnął swobodnie, całą piersią, balsamiczną w o n i ą pogodnego poranku lipcowego, i gdy zaczął odmawiać poranne modlity, stanęli przed nim w gronie rycerstwa: *Skryniński*, który złożył królowi złoty łańcuch w i e l k i e g o mistrza *Ulryka von Jungingen*, z krzyżem i klejnotami, oraz *Mszczug ze Skrzynna*, niosący pancerz złoty, relikwiami ozdobiony, zdjęty z ciała poległego. Wtedy król, podniósłszy łzawe oczy do nieba, rzekł:

— Patrzcie rycerze, jak niecną jest rzeczą wynosić się w obec Przedwiecznego! Oto ten, który wczoraj poglądał na nasze dziedziny, jakby już do siebie należące, i nie widział nigdzie współzawodnika, leży dziś nędznie zabity i bez żadnéj pomocy opuszczony (Zbigniew Oleśnicki, T. 1. str. 184).

Po chwili dano znać, że przybywają posłowie krzyżaccy z Malborga i proszą o posłuchanie. Gdy stanęli przed obliczem króla, w kornéj postawie, błagali go, ażeby dozwolić raczył tak zwłoki wielkiego mistrza, jak komturów i zacniejszych rycerzy uczcić pogrzebem.

Król chętnie zezwolił; zabrano ich zwłoki i pochowano krzyżackiego w warownéj stolicy zakonu.

Po otrzymaniu listów królewskich i wiadomości o tak przeważném z w y c i ę z t w i e, we wszystkich kościołach Polski uroczyste odprawiono nabożeństwo, dziękując Bogu za ocalenie narodu od niewoli zakonu krzyżackiego. Pięćdziesiąt dwie chorągwie zdobyte, zawieszono starym obyczajem w katedrze krakowskiéj na Wawelu, a owe dwa miecze zachowano w skarbcu na zamku królewskim.

Nieznany nam z imienia poeta, napisał współcześnie pieśń, w któréj objął wszystkie szczegóły téj pamiętnéj walki. Pieśń ta, zachowana w pamięci, bo ją śpiéwało nasze rycerstwo, ujęta pismem dopiéro w sto lat późniéj, doszła do naszych czasów (1). Marcin Bielski pisze, że za jego pamięci powszechnie znaną była w całym narodzie i po dworach szlachty śpiewywaną.

(1) Rzadki ten zabytek literatury naszéj z dawnego rękopisu ogłosił Leon Rzyszczewski w Bibliotece Warszawskiéj na r. 1843 T. 3. Nadpis, według pisowni dawnéj, ma taki: *Piessn o Proskieo porascze, kthora szie sstała za krolia Jagiełła Władisława. Roku 1510 napissana.*

Słowem pełném prostoty swego wieku, tak nasz poeta pieśń swą zakończa:

Obóz, działa, wszystko wzięto,
Tak Niemcom pychę odjęto;
Lańcuchy, co zgotowali,
Temi je nasi wiązali.
Po téj bitwie stał się koniec;
Wtém do Polski posłan goniec,
Iż król wygrał a mistrz stracił,
I gardłem tego przypłacił.
Tak-ci Pan Bóg hardość traci,
A pokorę hojnie płaci.
Sprawiedliwość w bitwie zmoże;
Daj tak zawżdy wygrać Boże!

K. Wł. W.

GWIAZDA ZARANNA.

GWIAZDA ZARANNA.

(*Madonna p. Zarzeckiego.*)

Z pomiędzy obrazów ukazujących się na wystawie krajowéj sztuk pięknych, niewiele było takich, któreby tyle zatrzymywały przy sobie zwidzającą publiczność, jak Madonna pod nazwą *Gwiazdy zarannéj* p. Zarzeckiego. Wystawianą ona była nietylko u nas w Warszawie, lecz i w Krakowie, gdzie podobnąż jak tutaj zyskała sobie sympatyą.

Powodzenie jakiego obraz ten doznawał, przypisać najgłówniéj można dosyć nowemu pojęciu i wykonaniu danego sobie założenia. Wtenczas gdy wszyscy prawie artyści tradycyonalnie starają się przedstawić Najświętszą Pannę w blasku i cieple słonecznem, otwierając nam niby część atmosfery niebieskiéj, zkąd zdroje jasności na nas biją, pan Z a r z e c k i inaczéj pojął i wyobraził swoję idealną postać.

Na tle nocy ciemnéj choć przezroczystéj, z tonów ciepłych zupełnie ogołoconém, jako zwiastunka dnia nadchodzącego występuje figura Matki Boskiéj, bladawym kolorem nocnych gwiazdek oświecona.

Nad głową Dziewicy błyszczy jako symbol gwiazda jutrzenki, światełkiem niebieskawém rozwidniająca cokolwiek ciemność nocy, co wkrótce ma ustąpić przed pełnym blaskiem wschodzącego słońca, którego jest tylko zwiastunką-poprzedniczką.

Jak w świecie fizycznym owa gwiazda dzień zapowiadająca, budzącym się ze snu nocnego lubém jest powitaniem, tak i w krainie ducha tęskniącym za prawdziwém światłem, owa gwiazda zaranna pociechą wstępuje na horyzont życia. Nie jest jeszcze dniem jasnym, pełnym, jest tylko światłością łagodną, bladawą z początku, lecz już wyraźną, a dziwnie miłą, bo nadzieją tchnącą. W takim to charakterze chciał przedstawić pan Zarzecki swoję Madonnę, i tak ją publiczność pojęła.

Delikatność form nieuchwyconych wyraźnemi konturami, wykończenie pieszczotliwe rysów twarzy rozpływających się w ogólnym niebieskawym tonie, w jakim całość jest trzymana, nadaje téj postaci wyraz mglistéj niepewności, charakteryzującéj owę uroczo tajemniczą porę zarania letniego, w któréj noc jeszcze nie ustąpiła, a świt różowy dnia nie zajaśniał.

W ogóle obraz ten, lubo nie posiada warunków wymaganych przez surową krytykę i zostawia dosyć do życzenia pod względem prawdy, a szczególniéj rysunku, (n. p. figura i ręce), pociąga wszakże ku sobie, mianowicie publiczność nieartystyczną, tkliwością poetyczną rozlaną w twarzy Madonny, ku czemu dopomaga nadzwyczaj miękkie malowanie głowy i trzymanie jéj, równie jak i całego obrazu, w tym niepewnym, niebieskawym kolorycie, dającym pracy p. Zarzeckiego ton waporyczny, właściwy porze prześwitowéj, w któréj unoszące się pary i mgły nocne, zacierając wyrazistość przedmiotów widzianych, usposabiają fantazyą do wyprowadzania na niepewném tle własnych swych tworów.

Rysunek tu załączony, przy całéj dokładności i staranności wykonania, nie jest w stanie, jako przedstawiający cienie jednego tylko koloru, wydać całkowicie najgłówniejszych zalet oryginału: kolorytu właściwego i miękkości s t a p i a j ą c é j wszystkie jego rysy w jeden ton harmonijny i spokojny.

SCENA DO KWODLIBETU P. T. „NOWY TEATR".

Osoby: JULIAN. — ZOFIA. — ANTREPRENER.

(*Artyści przybywają do antreprenera nowego teatru po jednéj lub więcej osób i składają dowody swoich zdolności, odgrywając wyjątki z dzieł dramatycznych. Skoro antreprener wysłuchał kilku scen, Zofia i Julian wchodzą dość żywo*).

ZOFIA (do antreprenera).

Pan antreprener?

ANTREPRENER (z ukłonem).

Ten sam.

JULIAN (podobnież).

Jestem niesłychanie
Kontent że go mam honor....

ZOFIA (przerywając żywo).

Pozwólno kochanie,
Bo jak zaczniesz być kontent z nowéj znajomości,
Jak pan zacznie nawzajem cieszyć się z swych gości,
Tak na interes chwili czasu nie zostanie.
Ot, po prostu do rzeczy....

JULIAN (przerywając podobnież).

Pozwólże kochanie,
W dwóch słowach zamknę powód obecnéj wizyty.
Słyszałem że pan, jako znawca znakomity,
Co z chwileczki rozmowy, z jednego wejrzenia
Do czego kto ma talent natychmiast ocenia,
Otwierasz nowy teatr.

ANTREPRENER.

Tak łaskawy panie.

JULIAN (podając mu rękę).

Jestem więc bardzo kontent....

ZOFIA (przerywając).

Pozwólno kochanie,
Bo znowu jesteś kontent! tu nie o to chodzi;
(do antreprenera).
Ot jesteśmy oboje przystojni i młodzi....

JULIAN.

I bezdzietni, to ważne dla sceny przymioty.

ZOFIA (wskazując na Juliana).

A że mąż nic lepszego nie ma do roboty,
Ja także, zatém nudy monotonne skrócę,
Oddając się z nim razem dramatycznéj sztuce.
Co do trudności, tych się żadne z nas nie zlęknie.
Bo i jakież trudności? ubiérać się pięknie?
Mam i gust przewyborny i dość sukien w szafie;
Przymilać się...? sprobuję, może i potrafię,
Pamięć.. no, téj nie miałam od dzieciństwa w głowie,
Ale czego zapomnę, sufler mi podpowie.
To i wszystko, mądrości nie trzeba tam wcale;
Choć jestem dość przebiegłą, tylko się nie chwalę,
Bom nie zarozumiała.

JULIAN (zbliżając się do antreprenera).

Naostatek, panie,
Cieszę się nieskończenie....

ZOFIA (przerywając).

Pozwólno kochanie,
Kto się zawcześnie cieszy, późniéj na tém traci.
Choć wiem że antreprener dobrze nam zapłaci,
Ale czasem (do antreprenera) Ja zajmę piérwszorzędne role
(wskazując na Juliana).
I z niego popychadła zrobić nie pozwolę,
Tém bardziéj, że u mojéj chrzestnéj mamy na wsi,
Gdzie widzowie od miejskich wcale nie łaskawsi,
On grał scenę z Otella, węglem usmolony,
A ja występowałam w roli Desdemony,
I wyobrazić sobie nie będziesz pan w stanie
Jak się z nas wszyscy śmieli.

JULIAN.

Pozwólże kochanie,
Znudzisz antreprenera próżnych słów szelestem.

ZOFIA (obrażona do Juliana).

Oh! już to ja dla ciebie zawsze nudną jestem!
Niech mi przyjdzie rozmowy chwileczka szczęśliwa,
Zaraz pan mąż w najlepszym ustępie przerywa,
Tak, iż nawet obcemu odgadnąć nie trudno,
Czym dla mego małżonka wesołą, czy nudną,
Czy dość jestem cierpliwą, że jak trusia znoszę
Niezgodnego pożycia trzechletnie roskosze,
Czy...

JULIAN (przerywając).

Pozwólże kochanie...

ZOFIA (coraz z większą żywością).

I owszem, pozwolę...

JULIAN.

Pan antreprener...

ZOFIA.

Aha! prawda w oczy kole,
Chcesz zagadać czém inném!... (wskazując na antreprenera.)
Pan nie taki głupi,
Ażeby nie zmiarkował na czém się to skrupi.
Nikt nas przecie w żelazne nie spętał kajdany!

JULIAN (mocniéj).

Nie w żelazne, w cierniowe!

ZOFIA.

Jak chcesz mój kochany,
Łatwiéj je zerwać!...

JULIAN (j. w.).

Także! zatém bez zachodu
Chcesz pójść do separacyi!

ZOFIA.

Choćby do rozwodu.

JULIAN (z wybuchem).

Do rozwodu!! nakoniec!... rzekłaś, niech się stanie!
Oddawna czekam na to!

ZOFIA.

Pozwólno kochanie....

JULIAN.

Nie pozwalam! ten wyraz dość mocy zawiera,
Pójdziem do adwokata od antreprenera.
Dość jestem skłopotany, znękany, zdręczony,
Życiem obok złośliwéj i kłótliwéj żony,
Któréj w domowych kątach przesadzona władza,
Codziennie nowe muchy do nosa sprowadza.
Oh! raczéj mi z kamieniem lecieć na dno Wisły!
Codzień nowe żądania, kaprysy, pomysły,
Tak, że już dziś z rozsądkiem minąwszy się zdrowym
Chce się przebić w komedji nożem papiérowym!
Nie! tego już za wiele!...

ANTREPRENER (n. s.)

Oj! Boskie skaranie!

JULIAN.

Staniem przed trybunałem!

ZOFIA.

Pozwólno kochanie!

JULIAN (z krzykiem).

Nie pozwalam! powtarzam, pójdę moim torem!
Nie zostaniesz aktorką!

ZOFIA.

Ani ty aktorem!

JULIAN.

Co zechcę to uczynię!

ZOFIA.

Kłamiesz, mogę przysiądz!

JULIAN.

Powtarzam ci sto razy...

ZOFIA.

A, powtórz i tysiąc!

JULIAN.

Że aż do dnia rozwodu...

ZOFIA.

Że do końca świata...

JULIAN (nagle do antreprenera).

Panie, czy pan jakiego nie znasz adwokata?

ANTREPRENER,

Ależ państwo, na Boga!...

JULIAN (groźnie).

Bez tych uwag, proszę!

ZOFIA (podbiegając do antreprenera).

Kto chce między małżeństwo kłaść swoje trzy grosze
Źle wychodzi!

ANTREPRENER (cofając się—n. s.).

Na honor, to waryatów dwoje!

JULIAN (chodząc żywo po scenie).

Oh! znam ja moje prawa!

ZOFIA (podobnież).

Znam ja prawa moje!
Rozwód!

JULIAN (j. w.).

Rozwód! to również i moja chęć szczéra!

ZOFIA.

Pójdźmy!

JULIAN.

Pójdźmy! (idą ku drzwiom.)

ZOFIA (zatrzymując się i zmieniając ton).

Lecz trzeba wpiérw antreprenera
Przeprosić, żeśmy w słowach byli za rozrzutni.

ANTREPRENER.

Co? więc ta cała kłótnia...

JULIAN.

Była próbą kłótni,
Któréj nie powtórzymy prędzéj aż na scenie.

ANTREPRENER.

I państwo....

JULIAN (z uczuciem)

Moję żonę ceniłem i cenię,
Miłość, co nam najdroższym skarbem zawsze była,
W teatrze przerwie rola...

ZOFIA.

A w życiu mogiła!

JULIAN (j. w. bez przesady).

Tak, najmilsza istoto, tak drogi aniele,
Żon z twemi przymiotami świat liczy niewiele:
Łagodna jak gołąbek, urocza jak wiosna,
Zgadzająca się z losem, cicha, niezazdrosna,
Tyś mi gwiazdą pociechy, pokrzepieniem w pracy!

ZOFIA (podobnież).

Bo téż niebardzo liczni i mężowie tacy
Jak ty, co w każdéj chwili, w każdéj życia dobie,
Myślą więcéj o żonach, niżeli o sobie.
Jednak...

JULIAN.

Jednak?

ZOFIA.

Mam wyznać?...

JULIAN.

Co?

ZOFIA.

Że duch sprzeczności
Od niejakiego czasu szczęścia mi zazdrości,
I wspólne zaufanie, co nas opromienia,
Mroczy nielitościwie cieniem podejrzenia...

JULIAN.

Cóż znowu!

ZOFIA (łagodnie).

Przyznaj, odkąd uczułeś pragnienie
Sławy, któréj koniecznie chcesz szukać na scenie?

JULIAN.

Od chwili...

ZOFIA.

Gdyś usłyszał że się téż wybiéra
Moja piękna kuzynka do antreprenera....

JULIAN (żywo).

Ja!?

ZOFIA.

Ah!... to pomięszanie...

JULIAN.

Wiész co ono znaczy?....

ZOFIA.

Że mam słuszność!

JULIAN.

Bynajmniéj...

ZOFIA.

Tak! tak! nieinaczéj!
Mam słuszność!

JULIAN.

Ależ pozwól...

ZOFIA.

Niechcę słuchać nawet!

JULIAN. (niecierpliwie).

Pozwól Zosiu, bo mogę odpłacić wet za wet...

ZOFIA (żywiéj).

Co?

JULIAN.

A!... i tyś zmięszana!

ZOFIA.

Ja?...

JULIAN.

Tak drogie życie!
Mnie również myśl podobna prześladuje skrycie.
Panicz, co wzdychał w moich współrywali rzędzie,
Przyjechał do Warszawy i rozgłasza wszędzie,
Że po smutnéj miłości wesołym pogrzebie,
Na złość zaślubił pannę piękniejszą od ciebie.

ZOFIA (z oburzeniem).

Alfred?

JULIAN.

Alfred!

ZOFIA.

I cóż ztąd?

JULIAN.

Ztąd, moje kochanie,
Do sztuki dramatycznéj twe upodobanie.
Chcesz wśród okrzyków brawa tłumnéj publiczności,
Wydać mu się piękniejszą, zmusić do zazdrości.

ZOFIA (nagle).

Ach!...

JULIAN (niespokojny—z mocą).

Co? miałżebym zgadnąć?

ZOFIA.

W oczach mi ciemnieje.

JULIAN.

Nie zapomniałaś o nim!

ANTREPRENER (biegnąc do Zofii).

Panie! ona mdleje!

ZOFIA (słabnącym głosem).

Taka potwarz! oh! innéj czekałam nagrody
Za tyle poświęcenia...

JULIAN.

Zofio!

ANTREPRENER.

Wody! wody!

(Przynoszą wodę.—Antreprener cucąc Zofią).

Widzisz pan coś narobił! wierzyć w jakieś baśnie!

JULIAN (porywczo).

Co? baśnie? to mój rywal!

ANTREPRENER (d. s.)

Niech go piorun trzaśnie!

JULIAN.

Zofio! Zofio!

ZOFIA (przychodząc do pzzytomności)

Julianie... duszo moja droga!...
Mógłżeś tak o mnie myśléć?...

JULIAN.

Oh! przestań na Boga!
Mówiłem bez uczucia, zaręczam honorem,
A dla twéj spokojności, niechcę być aktorem.

ZOFIA (z radością).

Co? wyrzekasz się sceny?

JULIAN.

Dla ciebie jedynie.

ZOFIA.

Tak? więc i ja dla ciebie toż samo uczynię.
Spokój domowy stokroć droższy wieniec splata,
Niż chwilowe pochwały, marny poklask świata.
Nie zostanę artystką! (do antreprenera) Przepraszamy pana.

ANTREPRENER.

Ależ niech wiem przynajmniéj, paro pojednana,
W co wierzyć, w co niewierzy ć.

JULIAN.

Żegnam.

ZOFIA.

Uniżona.

(chcą wyjść).

ANTREPRENER (patrząc za niemi).

Ślicznie!..

ZOFIA (zatrzymując się).

Wprawdzie należéć do artystów grona...

JULIAN (do Zofii).

Przyjemnie i jeżeli twoje szczére chęci...

ZOFIA (do Juliana).

Jeśli pragniesz...

ANTREPRENER (z uśmiéchem).

Lecz państwo tak sobą zajęci,
Że chyba z wielkim żalem będę przymuszony
Przyjąć żonę bez męża, lub męża bez żony...

ZOFIA (nagle).

Co? chesz pan nas rozłączyć?

JULIAN.

Skazać na cierpienie?

ZOFIA.

Miałżebyś serce?...

ANTREPRENER.

Ależ...

IULIAN.

Miałżebyś sumienie!

ZOFIA.

Wydrzéć żonę mężowi!

JULIAN.

Wydrzéć męża żonie!

ZOFIA.

Na zawsze! ah! ah! ah! ah! (spazmuje)

ANTREPRENER (biegnie ku niéj).

Niech pani ochłonie!

ZOFIA (zrywając się).

Jesteś tyranem! jednak twój warunek ostry,
Nie zraża... (zmieniając ton i przedstawiając Juliana)
mego brata,

JULIAN (podobnież, przedstawiając Zofią).

Ani mojéj siostry.

ANTREPRENER.

Także! przyjmuję chętnie, razem pozostaniem.

ZOFIA.

A publiczność jak przyjmie?....

ANTREPRENER.

Pewno z pobłażaniem.

Jan Chęciński.

CHWILA ŻARTU I PUSTOTY.

(Tekst Wład. Maleszewskiego, rysunek F. Kostrzewskiego.)

II.

SZERMIERZE

Zmęczony całodzienném bieganiem za sprawunkami, powracałem do swego pomieszkania, w którém dopiéro noc piérwszą, jako nowy lokator, miałem przepędzić. Godzina dziesiąta wybiła na ratuszowym zégarze, gdym po omacku przechodził schody nie dobrze mi jeszcze znane. Północ się zbliżała, westchnąłem całą piersią i wszedłem.

Pokój mój, jeszcze kawalerski, zawalony był w téj chwili książkami, szafami, papierami, a w pośród tych wszystkich rupieci zasiadłem w głębokiém krześle ponad stolikiem, na którym tylkoco złożyłem sprawunki, zrobione dla méj przyszłéj żony—Anielki z imienia. Siedziałem, patrzyłem i wzdychałem — bo straszna przyszłość była przedemną!... Ja mam zostać mężem, Anielka żoną moją; będzie więc małżeństwo, a z małżeństwa bywają dziatki. Lecz jakaż pociecha dla świata z tych nowych karłów, z tych wiekuistych niemowląt?.... bo ani na chwilę wątpić nie mogłem, żem godzien zostać ojcem tylko takich chudziaków. Ja, (oceniałem siebie), mam lat dwadzieścia kilka, a idąc na drugie piętro muszę ze trzy razy odpoczywać; ona ma zaledwie lat ośmnaście, a już wypiła 259 butelek wody marienbadzkiéj!

Ratuję się wprawdzie jak mogę: zamiast kawy piję wodę, zamiast zupy wodę, zamiast herbaty wodę, wstaję... od preferansa o godzinie 12, głowy sobie nie zawracam żadną książką, unikam wszelkich towarzystw i rozmów mogących zapalić serce do rzeczy wzniosłych i pięknych, oszczędzam sił używając ciągle dorożek, strzegąc się zaziębienia szyję obwijam w derę trzycalowéj grubości, piersi otulam powijakami, kolana i nogi, siedząc w powozie, kryję pod watowane kołdry; — ale to wszystko nic nie pomaga: wiecznie brak sił, wiecznie brak zdrowia. Mniejsza jednak o mnie, na to się przecież człowiek żeni, aby otoczony troskliwością kobiécą, odzyskał to w domowém zaciszu, co stracił na szérokim świecie. Lecz oto i moja Anielka także kurczątko, tylko kaszle i kaszle;—zalecam jéj zimną wodę i ranne wstawanie, a ona pije mocną herbatę, noce przepędza na marzeniach przy blasku księżyca; podsuwam polskie książki, a ona cieszy się starą francuzczyzną; namawiam do zdrowych pokarmów, a ona prosi o cukierki, pierniki i marcypany.

Przewidując zupełny upadek słabego zdrowia, pragnę conajprędzéj dobréj żony, ciepłego kominka, swobodnego szlafroka, a moja Anielka kaszle, patrzy w księżyc i pragnąc tylko westchnień, tylko romansów, małżeństwo jeszcze na rok odkłada.

Ulegając jednak przeznaczeniu, kupiłem ogromne dwa pudła, wypakowałem je cukrami, książką i ciasną sznurówką i jutro to wszystko przesyłam pocztą do méj najdroższéj. Co robić? taki los, pomyślałem sobie, wziąłem pióro do ręki i zacząłem list pisać....

Wtém sufit zatrząsł się nademną —podniósłem oczy w górę, nastawiłem ucha. Cisza nocna, raz przerwana, nie dozwoliła mi już ani na chwilę skupić myśli; musiałem powstać z miejsca i rachując krocie stąpań, skoków, susów ponad moją głową, wpadałem w ogromne podziwienie; bo jako nowy lokator, nie znając nikogo ze swych sąsiadów górnych i dolnych, ani cienia prawdy, ani jednego domysłu nie mogłem pochwycić. Otworzyłem nareszcie okno, szérokim oddechem powitałem noc piękną, majową, i spojrzałem w górę ku trzeciemu piętru. Światło i urywane krzyki wybiegały przez lufcik napół odemknięty; przekonałem się iż zesto nóg przynajmniéj skacze, stąpa, marszeruje; zrozumiałem komendę: allons, hop, eins, zwei, drei! i zmięszany na dobre, cofnąłem się w głąb' pokoju. Tu z dziwną siłą porwałem stolik i zniecierpliwiony zagadką, któréj rozwiązać nie mogłem, nosiłem się z nim po całym pokoju, chcąc znaleźć choć jeden punkt nad głową nieatakowany. Lecz to było niepodobném: po całym suficie wściekła burza huczała. Nagle wpadłem na domysł, że jakiś Anglik z oryginalności, lub Niemiec dla spekulacyi, na trzeciém piętrze założył stajnią czy oborę. Uspokojony nieco tém prawdopodobném przypuszczeniem, nacisnąłem na oczy kapelusz, stolik przysunąłem do drzwi, które mnie przedzielały od lokatora sąsiada, i starając się głosem miłości zagłuszyć wrzaski i skakania mieszkańców trzeciego piętra, po raz wtóry zacząłem list pisać.

Napisawszy dwa słowa i jednę sylabę, pióro wsadziłem w zęby, oczy wytrzeszczyłem przed siebie i nadstawiłem ucha: zdawało mi się że i za drzwiami, do których się przytuliłem, powoli rośnie jakiś szmer i sapanie; wyraźnie ktoś powolutku zwleka się z łóżka, ziéwa, stąpa i otrząsa się ze snu.... Niezadługo szmer zamienia się w łoskot, łoskot w hałas, w nieprzyzwoitość, bo silne uderzenie nogą raz i drugi we drzwi, poza plecami mojemi, wstrząsło całą ścianą. Poskoczyłem na środek pokoju, wpatrzyłem się we drzwi i słysząc jak te rękami i nogami są atakowane, pióro w obronie naprzód wystawiłem, kapelusz zsunąłem w tył głowy, książką niby tarczą zasłoniłem piersi, i byłem gotów przyjąć ostro, choć nie wiem czy zwycięzko, napastnika, który jak łotr jaki dobija się do mnie. Lecz gdy napaść na drzwi nagle ustała, rozbijanie się jednak po pokoju, skoki, susy i pląsy z całą gwałtownością się wzmagały, gdy i nad głową burza groziła, przeżegnałem się raz i drugi, spiesznie postąpiłem naprzód i zajrzawszy przez dziurkę od klucza, załamałem ręce i zawołałem: „jestem w domu waryatów!“

Ujrzałem na środku pokoju człowieka odzianego w jakiś żółty kaftanik, w opięte trykoty, z żelaznemi kulami w obu rękach; wyskakiwał jak szaleniec, a gdy widać napad waryactwa się wzmagał, drapał się na ścianę, skakał na łóżka i przez wyprężone sznury;—widoczna boleść była na jego twarzy. Żal mi ścisnął serce; oburzyłem się na ludzi, którzy dozwalają rozbijać się nieszczęśliwemu waryatowi; chciałem mu pomódz, chciałem go uspokoić; lecz jeszcze namyślałem się czym dość silny, aby zaczynać z szalonym człowiekiem. Widząc jednak jak ten poskoczył do okna i chwycił za zawiasę, przerażony myślą że pewno zamierza wyskoczyć na ulicę i samobójstwem położyć koniec swym cierpieniom, z całych sił uderzyłem we drzwi, chcąc je wytłoczyć swém ciałem; lecz gdy skutku nie było, odsunąłem zasuwę od mojéj strony i klamką gwałtownie szarpnąłem.

— Kto tam? usłyszałem zapytanie, wymówione tak waryackim tonem, żem aż zadrżał cały.

— Otwórz pan! krzyknąłem, nabierając odwagi do jakiéj ludzie tylko w ostatniéj rospaczy są zdolni. Otwórz! powtórzyłem.... Miéj Boga w sercu, tyś chrześcianin, pamiętaj na zbawienie duszy! A waryat roześmiał się strasznie, otworzył drzwi z klucza i odskoczył na środek pokoju.

Z męztwem, jakiém mnie natchnęła miłość bliźniego, uchyliłem drzwi i powolutku wcisnąłem się do pokoju sąsiada. Chudy jak mumia, z kosmykiem włosów na łyséj głowie, z dzikiém weselem na twarzy, stał na środku pokoju, wykrzywiony jak poczwara, unosząc nad głową w obu rękach dwie żelazne, krótkie pałeczki.

— Czemuż pan nie jész śniadania?... może tabaczki? zapytałem wychudłego sąsiada, wiedząc z doświadczenia, że z waryatami tylko waryacką rozmową można dojść do ładu.

— Tabaczki? zapytał mnie nieznajomy, i prostując swą postać zrobił straszne oczy.

— Tabaczka dobrze robi — a na śniadanie już czas, słońce niedługo wejdzie na południe.

— Czy pan naprawdę mówisz? zapytał znów groźnie; ja zaś, cofając się krok jeden, rzekłem:

— Tak, panie dobrodzieju, w Ameryce taki zwyczaj.

— Panie, mówmy rozsądnie! powiedział sąsiad; a ja, myśląc że na chwilę wraca do rozumu, zapytałem go ze współczuciem:

— I dawno tu pana niegodni ludzie zamknęli?....

Teraz twarz mojego sąsiada pokryła się wyraźną bladością, żelazne kule przytulił do piersi i cofał się w róg pokoju;—ja zaś, biorąc to wszystko za czajenie się do nagłego na mnie napadu, także byłem w odwrocie.

Chwila milczenia trwała dość długo; przestraszonym wzrokiem patrzyliśmy na siebie; aż sąsiad mój, zatopiwszy oczy w mojéj twarzy, nagle ku mnie poskoczył.... W mgnieniu oka byłem za drzwiami.

— To ty! zawołał wbiegając do mego pokoju.

— A ja.... odpowiedziałem, zastawiając się stolikiem.

— Nie poznajesz mnie? A! nic dziwnego... utyłem.

— Pan Maryan Fartuszkiewicz! wykrzyknąłem, poznając szlachcica z Podlasia, a sąsiada mojego ojca.

— Ten sam, mój chłopcze.—A tośmy się cudownym sposobem znaleźli. Dawno tu mieszkasz?

— Od dwunastu godzin. Ale panie Maryanie..... Chciałem coś napomknąć o waryactwie, bom jeszcze powątpiewał; lecz mniemany waryat uprzedził mnie, zadając w tym samym sensie pytanie:

— Chłopcze, czy ty czasem co nie cierpisz? I pokazał na czoło.

— Ja zdrów zupełnie, ale ty panie Maryanie?

— Przypomnij sobie, gadałeś od rzeczy.

— Skakałeś jak opętany, myślałem że sobie życie chcesz odebrać i dlatego gwałtem wpakowałem się do twego pokoju, aby ratować szaleńca.

Tu poczciwy Fartuszkiewicz, cztérdziesto-kilkoletni kawaler, zaczął śmiać się do rozpuku, podał mi rękę, przywitał i rzekł:

— Zawsześ ty większy waryat, boś człowieka postępu, człowieka idei, wziął za szaleńca.

— Cóż uprawiasz? jaką ideę protegujesz temi żelaznemi pałkami?

— Proteguję ideę odrodzenia rodzaju ludzkiego, uprawiam gimnastykę!

— To gimnastyka? zapytałem machinalnie, przypatrując się wychudłéj figurze pana Maryana.

— To źródło życia! to arcydzieło! to wszystko co rozum ludzki mógł najlepszego wymyśléć!—to *delices* jedném słowem!

— Nie znam się zupełnie na tém! piérwszy raz widzę człowieka gimnastycznego.

— Ale widzisz człowieka... powiedział pan Maryan, i z dumą zrobił jakiś piruet. Patrz, jaka pierś rozrosła, *quelles jambes!*

— Słomka na dwoje złamana jest ich wiernym obrazem.

— Pamiętasz jakem wyglądał — dowodził daléj w zapale—byłem łysy, bez żadnego zęba, a dziś....

— Jesteś bez włosów, na szczękach pustynia.

— Fi, uprzedzasz się mój chłopcze—patrz zresztą co mi ciała przybyło; *arrondissement* wszędzie pyszne. A jaka cera, jakie życie w oczach, jaki organ

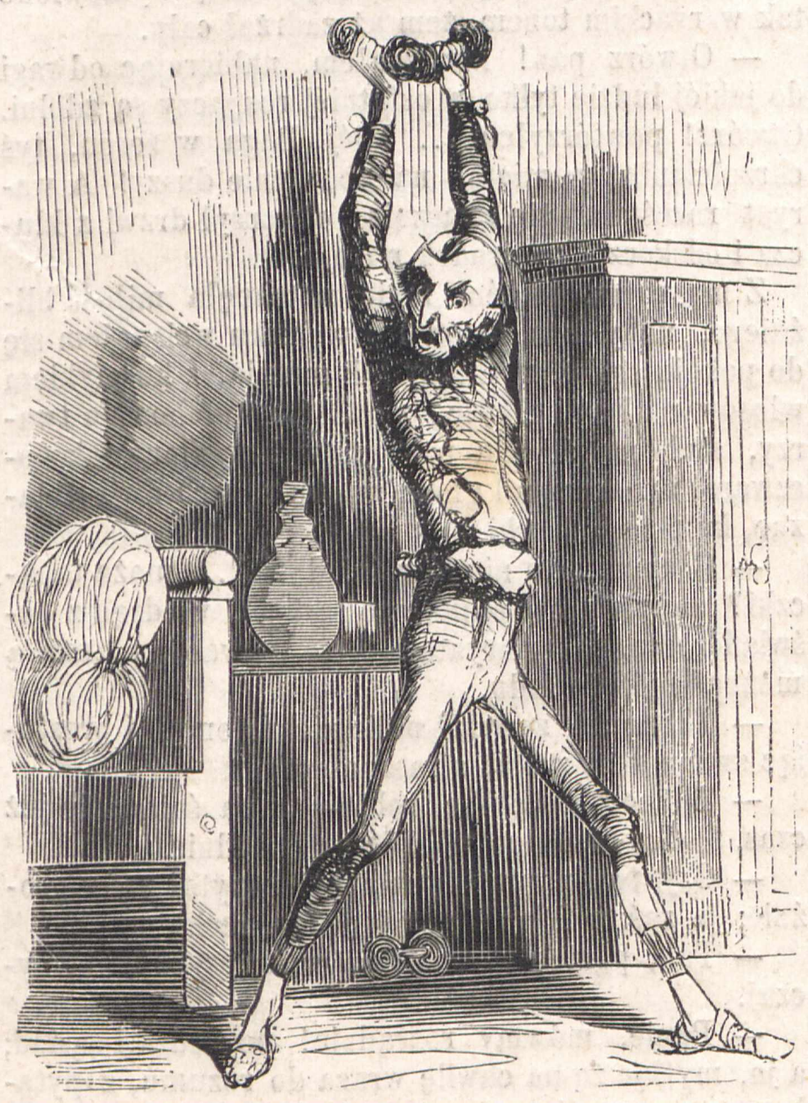

Pan Fartuszkiewicz wykonywa *pchnięcio-cięcie* z hantlami.

mowy, jaka sprężystość! Jestem sobie chłopczykiem! I pan Fartuszkiewicz naiwnie poskoczył do góry.

Obejrzałem tego 46-letniego chłopczyka, a znając jego przeszłość, niemało się zdziwiłem że jeszcze oddycha, że jeszcze może poskoczyć.

Rozwiązanie zadania konikowego umieszczonego w Nrze 45.

Rozwiązania ostatniéj szarady konikowéj nadeszły tym razem nie tak tłumnie jak zwykle, ale zawsze w ilości więcéj jak wystarczającéj. Z Warszawy piérwszą nagrodę pozyskał pan A. A., drugą pan Z. S., trzecią pani S.; z prowincyi: piérwszą pan C. M. w Piotrkowie, drugą pan J. W. także w Piotrkowie, trzecią pan P. S. w Sieradzu. Szarada ukryta w szachownicy jest następująca:

Ósmego szóstego,
Ósmego piątego,
Ósmego czwartego,
Ósmego trzeciego,
Ósmego drugiego,
Ósmego piérwszego
Szukaj u kupca winnego;
Kto ma siódme ósme, już jest stary;
Żeby kto miał wszystko, nie dam wiary.

(Znaczenie jéj: *pra-pra-pra-pra-pra-pra-wnu-ki*).

SZACHY.

ZADANIE XXXIII.

(*S. B w Warszawie*).

Białe zaczynają i dają mata za trzeciém posunięciem.

Czarne.

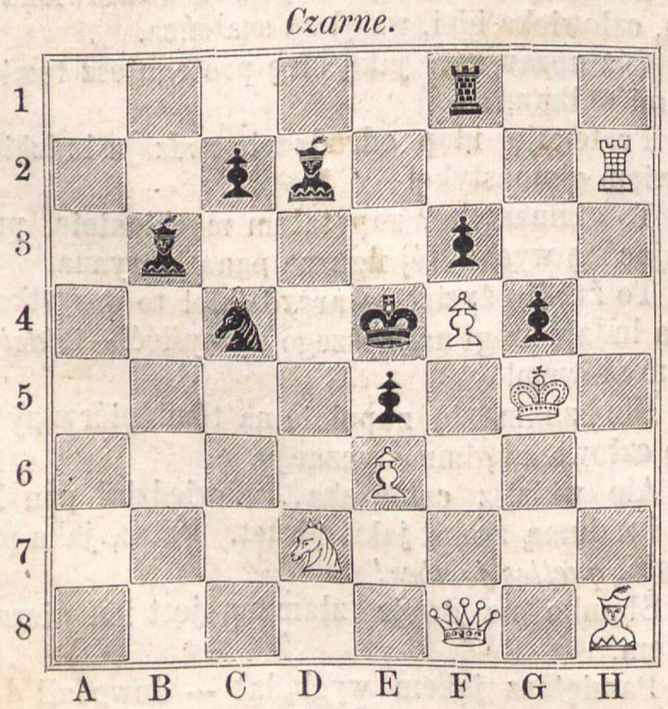

Białe.

— Dawno jesteś w Warszawie?

— Od roku rzuciłem wieś, jedynie dla nauki.

— Czytasz dużo? pracujesz umysłowo? Nie dziwię się, przez lat 40 nie było czasu o tém myśléć.

— Czytać! pracować umysłowo! wykrzyknął przestraszony pan Maryan. A ty nie wiész że to najwięcéj szkodzi zdrowiu; mam surowo zakazane podobne nadużycia.

— Dbasz pan więc tylko o ciało?

— Nie o ciało, ale o tuszę, o siłę konieczną do odrodzenia rodzaju ludzkiego.—Patrz, jam Herkules! I Fartuszkiewicz jedną ręką poruszył szafkę z książkami.

— Winszuję, śliczną przyszłość masz przed sobą. Tylko szkoda że będąc na wsi, o tych gimnastycznych ćwiczeniach nie pomyślałeś. Niegdyś szlachcic polski, pracując około roli, pędząc po stepach na koniu, tańcując z Tatarem, był silny jak dąb i miał dzieci jak dęby; a my dziś, panie Maryanie, wszystko to gimnastyką zastępujem.

— Czyż nie wiész, paniczu, że z téj mozolnéj pracy około roli, z tych harcowań na koniu, z tych barbarzyńskich tańców z Tatarem, ojcowie nasi wyrastali poprostu na silnych chłopów; a my dziś, z po-

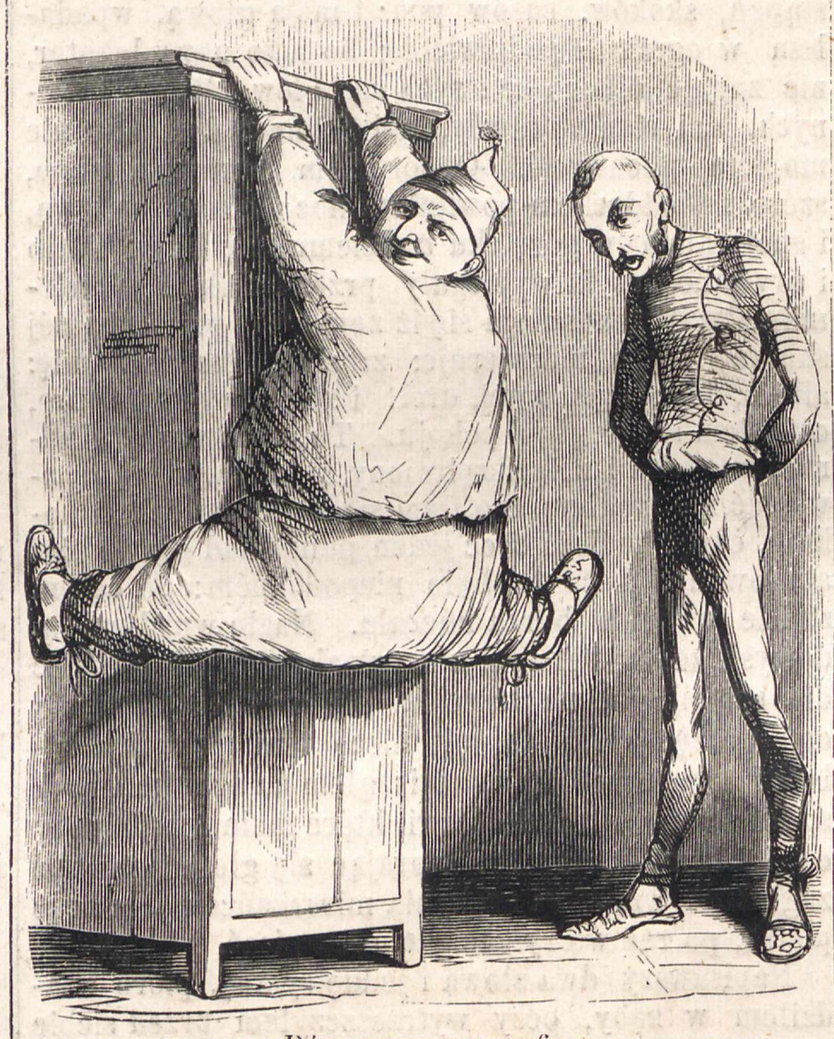

Równowaga na szafie.

mocą gimnastyki, formujem się na salonowych olbrzymów? *C'est une grande différence!*

— I cóż ci przyjdzie z tego olbrzymiego stanowiska?

— Co?... będę uwodzicielem! z lubością wymówił podreparowany kawaler, i zrobił pozę Kupidyna w żółtym kaftaniku.

Chciałem coś daléj mówić, ale mocny kaszel zaczął mnie dusić. Natychmiast Fartuszkiewicz porwał mnie za rękę i zawołał:

— Ty masz suchoty! Gimnastykuj się, bo umrzesz! Próbuj, bierz kaftan i hantle.

— Daj mi święty pokój, jam za słabéj kompleksyi na takie mordowanie się.

— Wierzaj mi, za rok będziesz olbrzymem, z głębokiém przekonaniem powiedział pan Maryan, poskoczył do swego pokoju i zaraz powrócił, niosąc łosiowy kaftan i dwa żelazne hantle.

— Rozbieraj się!

— Zlituj się, uwolnij mnie od tego—jam słaby.

Prosiłem się i wymawiałem, lecz Fartuszkiewicz gwałtem ściągnął ze mnie surdut i wpakował kaftan.

Nagle ściany się zatrzęsły, myślałem że sufit się zapada—a pan Maryan konwulsyjnie ścisnął mi rękę, wyprężył się i szepnął tajemniczym głosem:

— Cicho. Po chwili dopiéro roskoszny uśmiéch zaigrał mu na wyżółkłéj twarzy, wypuścił wstrzymany oddech i zawołał:

— I tam ludzie! i tam gimnastyka!

— Więc wszędzie gimnastyka, i to po nocy! wykrzyknąłem i ja, przerażony takiém sąsiedztwem.

— Po nocy dlatego, bo ja i oni trzymamy się zasady rzymskiéj, zamalgamowanéj z zasadami Klossa, Klumpa, Eizelena, Szrebera i p. Piszery,—szybko wyliczał pan Maryan i kończył z coraz większym zapałem:

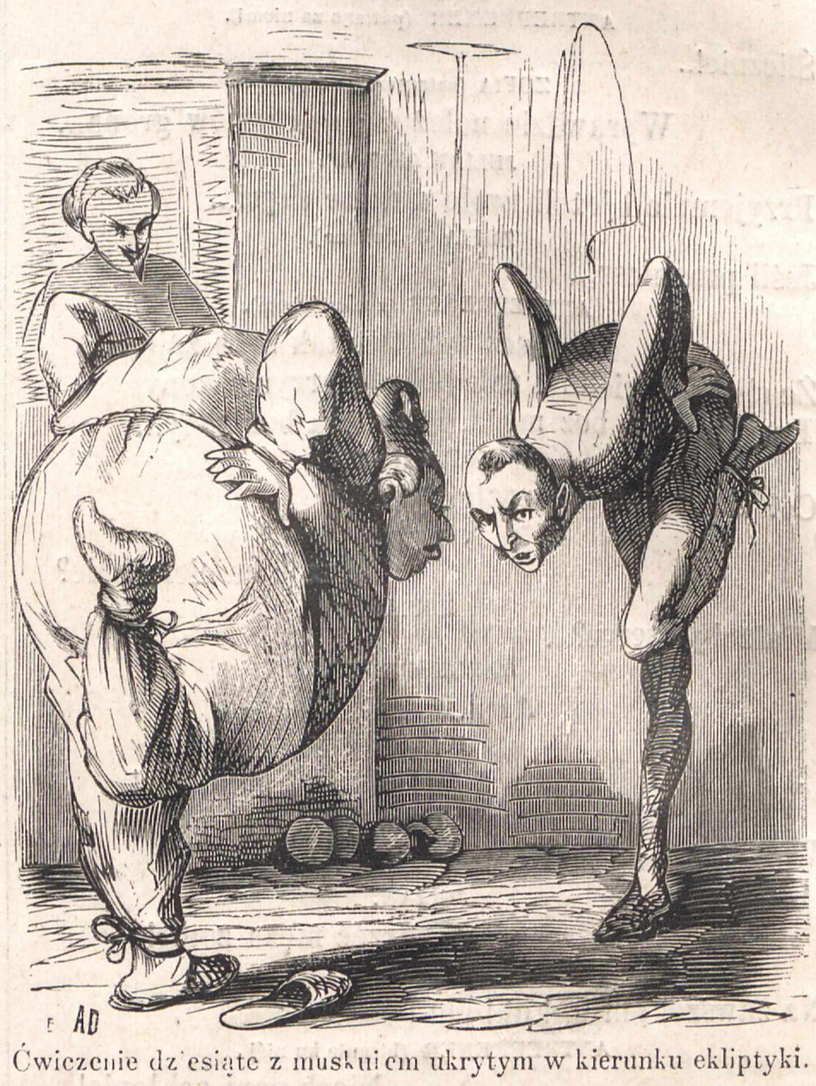

Ćwiczenie dziesiąte z muskułem ukrytym w kierunku ekliptyki.

— Gdy człowiek śpi, kość się galaretuje, żyła kurczy, ciało więdnieje, a o północy zupełna bezwładność w nas i nad nami Zrywać się wtenczas, prostować i prężyć wszystkie muskuły, tak robili Rzymianie. To powiedziawszy, pan Maryan wpatrzył się w sufit, nadstawił ucha i z biciem serca śledził każdy skok, każde stąpnięcie. Nagle wykrzyknął:

— Źle! nogi nie w prostéj linii z nosem! Taki kierunek wpływa na obluzowanie dziewiątéj kostki w przybocznym stawie od lewéj łopatki. Źle! brak wprawy—powtórnie zakrzyczał, poskoczył do okna, wychylił się na podwórze i wzniósł głos ku trzeciemu piętru:

— Panowie! o trzy cale wyżéj nogę — dziewiąta kostka obluzować się może!

Na to wezwanie trzecie piętro ucichło i przez lufcik spadł głos:

— Kto nas ostrzega? Zacny panie, czy i ty gimnastyk?

— Zbyteczne pytanie, ja gimnastyce zawdzięczam swoję otyłość.

— O panie, a ja przez nią jedynie schudłem jak należy. Zacny sąsiedzie z drugiego piętra, radbym cię poznać. *(Obacz Dodatek.)*

REBUS.

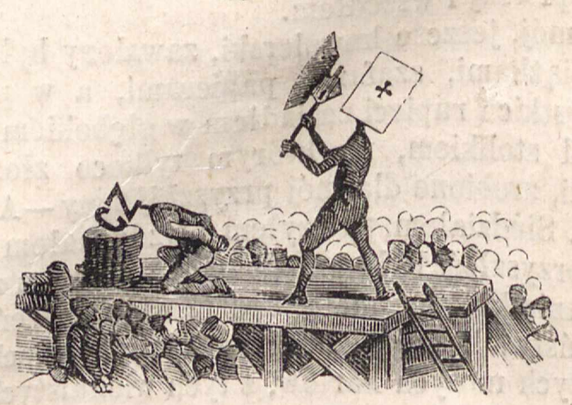

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 45.

Dowody stwierdzają, że ten kto puka, temu otwierają.

(Dodatek.)

— I ja pragnę tego z duszy. Zejdź pan do mnie, bo ja nie jestem sam.

— Służę ci zaraz, szanowny towarzyszu linki i hantlów, odpowiedział głos pełen sympatyi i duchowego uwielbienia dla pana Maryana, i we dwie minuty otworzyły się drzwi od mego pokoju, a przez nie wtoczył się siwy staruszek, gruby, owalny. Ukłonił się, uniósł nieco szlafmycy i rzekł:

— Jestem Krystyan Blutwurst, bardzo lubiłem wieprzowe mięso i bawara, utyłem też jak beczka; aż mi brat mój Wilhelm z Berlina poradził gimnastykę, i przez nią schudłem, że aż lekko człowiekowi. I owalny Krystyan uniósł się na palcach.

— Niebo nam błogosławi! zawołał rozczulony Fartuszkiewicz, rzucił się na szyję tłuściutkiego Niemca i uściskali się serdecznie.

— W jednym domu mieszkamy, mówił daléj, jednę ideę żywim w sercu, a nie znaliśmy się z sobą. Od dzisiaj więc razem ćwiczyć się będziem.

— Ale czy pan już bardzo zaawansowałeś? zapytał Niemiec z pewną zarozumiałością.

— Ba! ćwiczenie dziesiąte *parfaitement* posiadam.

— Jakto dziesiąte—piętą do góry?

— Właśnie — z muskułem w ukryciu, kierunek ekliptyki.

— Ja w tém sławny, to moje for.

— Daléj, probójmy się, zawołał pan Maryan, i obaj szermierze, nie spuszczając siebie z oka, wygięli się w poczwarne istoty.

Piérwszy Niemiec stęknął i silnie sapnąwszy, zawołał:

— Pan młodszy, łatwiéj mu złamać się w pałąk, ale kto się powiesi na téj szafce i utrzyma równowagę?

— Dobrze! ochoczo odpowiedział zagrzany Maryan, i robili nowe ćwiczenie.

— Pan masz większy brzuch, to środek ciężkości łatwiéj mu utrzymać, piérwszy odezwał się Fartuszkiewicz, a Blutwurst zaśmiał się z radości, bo był zwycięzcą.

(*Dokończenie nastąpi*).

Adam Kisiel, wojewoda kijowski.

(*Dalszy ciąg.*)

Spokojność przecież nie długo trwała. Kisiel pisał do senatorów, że sprawy na Ukrainie źle idą, bo Kozacy jak zwierze bez głowy, bellua sine capite, stado bez pasterza. Podług Kisiela, powinnaby rzeczpospolita postawić na Ukrainie dzielnego wodza, któryby miał za powinność gasić pożar, gdziekolwiekbądź się jaki ukaże, gdyż stan Ukrainy był taki, że dosyć było jednéj tylko iskry, a zapaliłaby się płomieniem jasnym. Szło tedy o to, żeby zapobiegać wszelkiemi środkami zetknięciu się Kozaczyzny z Polską, żeby dusić bunt w samym zawiązku. Wódz czujny polski powinienby miéć dużo pieniędzy i dużo władzy; pieniądze miał rozrzucać, żeby robić Polsce przyjaciół, a buntowników karać wykreśleniem z regestrów; li jedynie stworzeniem silnego stronnictwa polskiego wśród Kozaków można było dojść do upragnionego celu. Starszyzna kozacza niechajby zatrzymała tytuł swój i stanowisko, ale władza rzeczywista powinnaby spoczywać w ręku tego dzielnego wodza, którego Kisiel wywoływał z Polski, niechajby jakim chciał pokrywał się tytułem.

Bądź co bądź, bunt rozpłomienił się nie na Ukrainie, ale na Nizu. Na wodza narzucił się chłopstwu Paweł Pawluk Michnowicz, który wyszedłszy tajemnie z Zaporoża, zabrał działa z Czerkas. Co tylko było hultajstwa na Ukrainie, wypisowych, budników, owczarzy, a mianowicie z dóbr książąt Wiśniowieckich, z za Dniepru, wszystko to biegło do Pawluka. Kozacy regestrowi, a szczególnie starszyzna ich, przywiązana do Polski, oburzyli się wszyscy na Tomilenkę, że patrzał przez szpary na swawolę chłopstwa; może tu była i zła jego wola, skoro Okolski jawnie oskarża Tomilenkę o zdradę. Zebrali się więc Kozacy w koło i wybrali swoim starszym pułkownika perejasławskiego Sawę Kononowicza. Nowy ten hetman wystąpił, jak był powinien, w interesie rzeczypospolitéj i zaklinał bunty; ale Pawluk wysłał natychmiast do Perejasławia z Kryłowa dnia 1 sierpnia dwóch pułkowników, to jest: Karpia Skidana i Semena Bychowca, dlatego żeby się znieśli z regestrowemi „w dolegliwościach wielkich wojskowych“. Sam Pawluk przezywał się przy téj okoliczności hetmanem wojska jego kr. mości zaporożskiego, a Sawę tytułował hetmanem perejasławskim. Żądał po nim miłości i wspólnego działania, a trwożyć się mu niczego nie kazał. Pułkownicy Pawlukowi, korzystając z ogólnego usposobienia regestrowych, złożywszy nową radę w Perejasławiu, pojmali Sawę i wiele innéj co celniejszéj starszyzny. Pawluk oczekiwał na nich w Borowicy, miasteczku księcia Wiśniowieckiego. Dostawszy wrogów w swoje ręce, bez wszelkiego miłosierdzia i respektu okrutnie na błoniu przed miastem „hetmana z pisarzem wojskowym porozstrzelał, drugich zaś, różnie potraciwszy, dobra ich pozabierał.“ (Okolski). Hetman Koniecpolski znajdował się podówczas w Barze: natychmiast wydał uniwersał przeciw buntom (3 września), a do Pawluka wyprawił swoich dwóch rotmistrzów, Komorowskiego i Sokoła. Zastali rotmistrze Pawluka w Czehrynie. „Ale *cupiditas dominandi*, opowiada Okolski, wszystko w chłopie ślepiła.“ Podług niego, Sawa słusznie skarany, jako niezdolny do hetmaństwa, a do tego cudzoziemiec, o sobie mówił Pawluk, że z przymusu nosił starszeństwo. Koniecpolski na umizgi Pawluka odparł: „Słuchajcie swojego starszego, którego naznaczy wam król, a nie tego kto sam weźmie sobie godność, spalcie wszystkie czółna i nie puszczajcie się na morskie wycieczki, wtedy powróci do was łaska królewska.“

Przychodziło zatém do starcia się orężnego. Karp Pawłowicz Skidan, pułkownik wojska j. k. mości zaporożskiego na wszystkiéj Ukrainie, na dniu 11 października 1637 wydał uniwersały do pospólstwa ukraińskiego, żeby się kupiło, a nawet regestrowych znosiło. Zrobił się na Ukrainie wielki hałas. Leciało wszystko co swawolne do Pawluka, nawet nieposłuszni regestrowi, a od domów szlacheckich, miast, zamków i majętności ukraińskich szeroka łuna rozpaliła się na niebie. Wszędzie wysłańcy Pawlukowi poddanych przeciw panom buntowali, urzędy znosili i zaskoczonéj nagle pożogą wojenną szlachcie rozkazywali, aby chłopstwu nie bronili biedz do buntu. Skidan, szanując Kisiela, napisał do niego list następujący:

„Jaśnie wielmożny m. panie Kisiel, p. podkomorzy czernichowski. Życzliwość naszę rycerską i służby we wszém powolne oddawszy, za towarzyszami wojska zaporożskiego, którzy w Dziewicy majętności w. m. mieszkają piszę: aby chudobę swą przedawszy, pobliżu ku wojsku coprędzéj przyszli i tego im nie zabraniał. Na usługach k. j. m. bywali, a w chudobach twych nie są wolni. Rozumiem że w. m. im nie będzie ni w czém zabraniał, ani ich hamował; wojsko to nagradzać i ja jestem gotów.“

W Czehrynie 6 Novembr. a. 1637.

Karp Pawłowicz Skidan,
półkownik wojska J. K. M. zaporożskiego na wszystkiéj Ukrainie.

Było tych listów wiele i do innych dzierżawców polskich i starostów na Ukrainie. Terroryzm był ogólny. Po dworach piérwszy lepszy Kozak prawa dyktował, brał gwałtem co chciał, broń, odzież, szable, prochy, ołów, konie, stacye, a zostawiał na to miejsce kije i kostury. Co chwila nowy wódz buntowników się zjawiał; w dobrach Kisiela broń podniosło aż dwóch, Murko i Nosek. Przykro się zdało wolnéj szlachcie znosić coś takiego od poddanych, „jedno iż z niepolitykami i grubém chłopstwem i oratorya nie pomoże“. Kisiel razem ze starostą ostrskim musieli uchodzić z majętności swych i nie gościńcem własnym: „lepsze łyczane zdrowie, niż jedwabna śmierć,“ mówili sobie i uciekali. Trwał taki bunt od czerwca aż do grudnia, a coraz gorszy. Wreszcie Koniecpolski pchnął przeciw buntowi Mikołaja Potockiego hetmana polnego.

Potocki krok za krokiem ledwie postępował na Ukrainie wśród pożarów, dlatego, że wojsko iść nie chciało do boju i ciągle myślało o skonfederowaniu się, z powodu że nie było płatne. Potocki dokazał cudów wytrwania i cierpliwości. Ułagodził raz i drugi wojsko i pomykał się coraz daléj, bo wojsko do pewnego tylko czasu obiecywało mu posłuszeństwo. Sądził jednak iż wskóra coś i z Kozakami łagodnością. Użył pośrednictwa Kisiela; jednocześnie wysłał podjazdy z Korsunia do Bohusławia. Było to w grudniu, Kisiel, jako świadomy Kozaków, obiecał swoje powolne służby panu hetmanowi i z pisaniem stosownem wyprawił zaraz do Pawluka poufałego sługę Lulę, w orszaku kilku Wołochów, perswadując mu pokój i łaskę ich m. p. hetmana. Nie zdała się na nic dyplomacya; Kisiel ani na krok w ciągu téj wojny nie odstępował hetmana i pomagał mu sercem i głową. Pojmano po drodze jednego Kozaka: podarował go zaraz Potocki Kisielowi, „aby rzetelniejszego mógł miéć jegomość.“ Podkomorzy gardłem go darował i między swe dragony naznaczył. Późniéj wzięto do niewoli księdza: i tego hetman, darowawszy zdrowiem, oddał również podkomorzemu. Dowiedział się Kisiel od nich i od drugich jeszcze niewolników, że siła Pawluka wynosi do 20 tysięcy chłopstwa uzbrojonego w samopały, inni zaś mają rohatyny, kosy i siekiéry, że sam Pawluk stanął w Mosznach, ale już się puścił taborem pod Kumejki, i tylko co go niewidać, że idzie śmiało i serdyty że ma armatę, to jest dział ośm i prochów siła. Pojrzawszy hetman po tych co byli przy nim, rzekł po łacinie:

— „Omnibus patebit honoris et gloriae campus.“ Wszystkim nam będzie to pole do sławy, i dodał po polsku rozkazując:

— „Konia! abym rekognoskować mógł miejsce.“

Obożnego z Piotrem Komorowskim zostawił na straży wozom, „sam wybieżał w pole, a za nim jego miłość p. podkomorzy czernichowski i wiele towarzystwa.“ Tymczasem strażnik koronny, przodem wysłany przeciw kozaczyznie, przyprowadził „hydrę na karkach swoich ku jego m. p. hetmanowi polnemu, prawie od Moszen aż ku Kumejkom, aż na miejsce szyku koronnego i potrzeby.“

Chłopstwo następowało odważnie na koronne wojsko pod Kumejkami, taborem w sześć rzędów szło sprawnie, na czele miało dział cztéry, na środku parę, w zawarciu parę prowadziło, a ludu środkiem wozów tysięcy 23 pułkami i sotniami dobrze podzielonemi sprawowało. Płakał na to „żarliwy w religii greckiéj“ podkomorzy, mówiąc:

—„Piękne grono ludzi i animusz niezły, ale gdyby to przeciwko nieprzyjacielowi krzyża św., a nie przeciwko panu, królowi swemu, rzeczypospolitéj i ojczyznie, byłoby co tam chwalić, ale tu jest co ganić.“

Klęska nastąpiła okrutna. Kozacy, pomimo cudów męztwa, przegrali sprawę; w samym taborze i na polu padło ich około 8,000 na placu, a żaden nie szczędził życia i zdrowia, jedni drugich zachęcali do śmierci. Żołnierz polski wyparł z taboru chłopstwo i zagnał się za niém, ale pozostali w taborze zamknęli się w nim i walczyli. Wtedy to upatrzył sposobność Lula, sługa kisielowski, zatrzymany przez Kozaków od czasu niefortunnéj swojéj dyplomacyi, i uszedł z taboru. Bitwa ta była 16 grudnia.

Uszli nocą z pogromu Pawluk i Skidan, ale hetman rano nazajutrz dopędził ich pod Borowicą, otoczył i zaczął strzelać. Kisiel nastręczył się znowu na pośrednika. Domagał się od Kozaków wydania Pawluka i kilku innych watażków buntu, zresztą wszystkich darował zdrowiem. Wydani sprawcy we wtorek, to jest Pawluk i Tomilenko; Skidanowi udało się zbiedz do Czehryna, a w piątek nastąpiła rozprawa z kołem. Marzyło się Kozakom, że Potocki pozwoli im na wybór nowego wodza, ale hetman objaśnił wtedy otwarcie starszyznie jakie było położenie rzeczy: Kozacy stracili wszystko przez bunt, a więc i prawo wyboru hetmana, że urząd ten zniosła rzeczpospolita i domaga się po nich w zakład przyszłéj wierności, żeby wydali wszystkie oznaki udzielności hetmańskiéj, jakoto: buławę, buńczuk i pieczęć.

Po takiém surowém zapowiedzeniu, wyszli Kozacy w pole i czekali na hetmana, chcąc zadosyć woli jego uczynić; ale Potocki posłał za siebie Kisiela i obożnego, więc nawet tego zaszczytu im nie pozwolił, żeby sam miał odbiérać znaki hetmańskie. Miał na polu do Kozaków rzecz Kisiel, poczém odebrał im buławę, chorągwie, komeszyny i pieczęcie; wreszcie z ramienia hetmańskiego oddalił pułkowniki stare, a wyznaczył im pułkowniki nowe, toż assowały, sędziów i pisarza wojskowego. Hetman nawet nie chciał dawać Kozakom starszego generalnego, ale do sejmu rzecz tę odłożył; zatém Kisiel, trafiając w myśl hetmańską, do czasu zostawił nad Kozakami władzę Iliaszowi Karaimowiczowi, który był dotąd pułkownikiem perejasławskim.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WSPOMNIENIA Z WYCIECZEK

po Galicyi, Bukowinie i Mołdo-Wołoszczyznie (*)..

I. GALICYA.

Raz jeszcze spojrzawszy na tonący we mgle Kraków i trzy mogiły, strażnice grodu i dziejów przeszłości, zbliżałem się do Wieliczki, owéj niewyczerpanéj skarbnicy ziemi naszéj. Dziwném przepełniony uczuciem, spoglądałem przed siebie na malowniczy obraz przyrody, błądząc okiem to po widnych zdaleka a ciemnych karpackich gór grzbietach, to po zieloném tle rozległych łanów, dolin i pagórków; a duch mój unosił się do tych świętych patronek polskich, których anielskie postacie przyświecają nam pochodnią wiary, nadziei i miłości. Jakże szczytny wieniec cnót i czynów, jakżeż drogie pamiątki tych bohatérek i wybranych córBożych pozostały nam potomkom! Otóż i dzieło ś. Kunegundy, podziemne źródła życia i skarbów, nieprzebrana w zapasy solne Wieliczka.

Przypadkiem spotkałem się tu ze znajomym artystą-skrzypkiem, którego celem była ta sama podróż jaką sobie zamierzyłem; postanowiliśmy odtąd odbywać razem nasze wycieczki artystyczno-naukowe i zaczęliśmy je od zwidzenia podziemnego świata Wieliczki. Zbliżywszy się do głównego szybu, gdzie już liczne grono podróżnych czekało na hasło do spuszczenia się w kryształowy labirynt sztuki i natury, otrzymaliśmy każdy, za opłatą 20 krajcarów, białe koszule, dla zabezpieczenia sukien od wilgoci solnéj. Za danym znakiem rozpoczęła się wędrówka. Jedni, między któremi był i mój towarzysz, spuszczali się na linie, drudzy po schodach, jak białe duchy w krainie Erebu, schodzili coraz głębiéj z piętra na piętro, przy świetle pochodni i świéc bengalskich, których blask po brylantowych kolumnach i ścianach oczkowatéj soli w tysiącznych odbijał się barwach. Przeszedłszy korytarze i jaskinie podziemne, zwidziliśmy kaplicę i salę balową, spojrzeliśmy i w tę otchłań bezdenną, w którą gdy się rzuci jaki ciężar, długo oczekiwać trzeba, zanim się usłyszy odbicie na dnie czarnéj przepaści. Płynąc potém przez jezioro podziemne, utworzone z rozpuszczonéj soli i zdumiewając się nad cudami natury, usłyszeliśmy naraz czarujące tony, które w tysiącznych odbite odgłosach, cudowne wywarły na podróżnych wrażenie. Dźwięki skrzypiec coraz głośniéj, coraz silniéj rozlegające się w pieczarach, wprawiły nas w tak roskoszne marzenie, iż nam się zdało, żeśmy w jakim zaczarowanym pałacu z tysiąca i jednéj nocy, albo że zwidzamy dźwięcznobrzmiącą pieczarę Fingala. Mistrz, coraz to nowe wydobywając tony, rozwinął całe bogactwo swego instrumentu w potędze melodyjnych głosów. Z cztérech strun razem rozlał harmonią wszystkich akordów, a kiedy uderzył fortissimo, jeden z przytomnych wędrowców wypalił na dobitkę z pistoletu. Zagrzmiał grom straszny w podziemnych grotach; zdawało nam się że świat się zawalił, z takim łoskotem i hukiem odezwały się echa w koło nas zdumiałych.

Taką niespodziankę sprawił nam mój towarzysz. Huczne i serdeczne brawa były nagrodą artysty, Orfeuszem od nas zwanego; ale od dyrektora kopalni potężnego otrzymał on nosa za to, że bez pozwolenia poważył się brać z sobą w krainę Plutona lutnią i broń palną. Znacie zresztą Wieliczkę.

Ztąd udaliśmy się przez Bochnię do Tarnowa. Wspaniałe pomniki Tarnowskiego Jana i Ostrogskiego Konstantego, tych dwóch bohaterów naszéj historyi, postawione w tutejszym kościele, były już tyle razy opisywane, że dosyć wspomnieć o nich. Za miastem oglądaliśmy ostatnie szczątki z baszt zamku niegdyś Tarnowskich, który, jak wieść niesie, miał się zapaść w czasie biesiady i tańców. Naprzeciw wznosi się góra św. Marcina, z kościołkiem starym, modrzewiowym i z resztą niedokończonéj mogiły, jaką tu sypać zaczęto, ku uwiecznieniu pamięci nieszczęśliwych, którzy w okropnéj chwili męczeńsko zakończyli życie. Cel nie został dopięty, bo się nie brano żwawo do pracy, a późniéj i dokończyć nie było można. Zwidziliśmy także w blizkości Tarnowa piękny pałac, ogród i stajnie księcia Władysława Sanguszki, podziwiając śliczną stadninę, złożoną z doboru koni pochodzących ze Sławuty, dóbr księcia na Ukrainie.

Z Tarnowa udaliśmy się w bok ku Karpatom, chcąc obejrzéć pozostałe szczątki zamku na Wiśniczu. Mury utrzymały się jeszcze, całe z ciosowego kamienia, jakby dziś wykonane. W narożnikach tkwią dotąd tarcze z herbami Srzeniawitów. Jest tu jeszcze w całości sala Piotra Kmity, któréj sufit wspiéra się na odwiecznych belkach modrzewiowych. Znajduje się tu pokój na górze, w którym, jak mówią, królowéj Barbarze podano truciznę i ztąd chorą zawieziono do Krakowa. Przed bramą stoją dotąd dwa ogromne moździerze żelazne. Zamek ten Kmitów, późniéj Lubomirskich, znany za konfederacyi barskiéj, dziś ruinami tylko przypomina świetniejszą przeszłość swoję. W obecnym jednak stanie długie jeszcze przetrwać może lata, zanim się doczeka odbudowania, albo zupełnéj ruiny.

Po drodze do Jasła wstąpiliśmy do miasteczka Biecza. Było ono niegdyś jedném ze znakomitszych miast w Polsce, posiadając prawo miecza. Po domach żydowskich znajdują się tu dotąd różne rzeźby z ciosu i marmuru, które dla archeologa, równie jak i ratusz ze starożytną wieżą, godne są uwagi. Dom i sala o trzech oknach przy kościele, w któréj mieszkał niegdyś kronikarz polski Marcin Kromer, zachowane dotąd w takim prawie stanie, jak były za życia jego. Wspaniały kościół farny w stylu gotyckim, tuż obok szczątków starożytnych murów fortecznych, ogromem swoim i trwałością zastanawia. W nim znajdują się pomniki starożytnéj a krajowi zasłużonéj rodziny Bieckich. W ogólności rzec można, że mało jest miast, gdzieby tyle przechowało się pamiątek znakomitéj i świetnéj przeszłości, jak w Bieczu. W pobliżu miasta, na wyniosłéj górze, znajdują się szczątki murów zamku niegdyś królowéj Jadwigi. Okolica cudownie piękna i romantyczna.

Pospieszyliśmy do Jasła. Jestto miasteczko schludne, wesołe i miłe, położone w malowniczéj okolicy, jak całe Jasielskie, Sandeckie i Sanockie. Reprezentantem miasta, w którém ani jednego niéma Izraelity, jest właściwie rynek porządny, czysty, dobrze wybrukowany. Jest to niby wielki salon, w którym mieszkańcy w każdéj chwili widzieć się i o sobie wiedzieć mogą. W charakterze swoim mają oni wiele podobieństwa do Krakowian i odznaczają się uprzejmą gościnnością i staropolską serdecznością.

Z Jasła udając się daléj Podgórzem karpackiém, ujrzeliśmy w czarującéj okolicy starożytne miasto Krosno, którego szare, mchem wieków pokryte mury świadczą o świetniejszéj przeszłości. Za dawnych téż czasów posiadało miasto Krosno 30,000 mieszkańców. Wspaniałe ruiny klasztoru pojezuickiego okazują widocznie, że to był niegdyś zamek obronny. Okazały kościół farny, pełen ozdób rzeźbiarskich, posiadający dwa dzwony srébrne ślicznym głosem wsławione, wiele artystycznie wykonanych malowideł, nagrobków marmurowych i pięknych ołtarzy, może iść w porównanie pod względem budowy i bogactwa z piérwszemi kościołami Krakowa. Drugi kościół, bernardyński, wybudowany został z ruin zamku odrzykońskiego. Mniéj wspaniały kościół franciszkański, mieści w sobie szacowny zabytek, kaplicę sięgającą czasów Władysława Łokietka lub Wacława czeskiego. Są tu okazałe marmurowe grobowce rodziny Kamienieckich, panów na zamku Odrzykoniu czyli Kamieńcu. Herby na tych grobowcach dotąd jeszcze nie zatarte; mieszczą się także pomiędzy niemi herby rodzinne Anny i Stanisława Oświecimów. W kaplicy przez Stanisława Oświecima po śmierci Anny zbudowanéj, wspaniałą rzeźbą i malowidłami ozdobionéj, są starannie zachowane obrazy Oświecimów. Te same twarze powtórzone w obrazie ołtarza w miniaturze, jak się zdaje pędzla Wandyka. Twarz Anny Oświecimówny na wielkim obrazie tém się odznacza, że patrzący na nią w czasie pogodnym, podczas jasnego światła słonecznego, zmieniając swe stanowisko, dostrzega i w téj twarzy zmiany, bo zdaje się raz bladą, to znowu rumianą. Przystawiwszy drabinę, oglądaliśmy śliczne to oblicze zblizka. Całe malowane jest w poprzeczne prążki różowe i białe, naprzemian delikatnie cieniowane. Otóż malarska tajemnica i sztuka.

Pomimo niepewności dziejów rodziny Oświecimów, pomimo że nasi archeologowie i turyści nie przypuszczają pobytu Anny na zamku odrzykońskim, opowiadam przecież to, co zaczerpnąłem z podań miejscowych. Na cmentarzu franciszkańskim spotkaliśmy kilkoro ludzi. Mój towarzysz podróży, wielki miłośnik wszelkich legend i tradycyj, zapytywał się ich o bliższe szczegóły dotyczące Oświecimów, a mianowicie o Annę, gdzie mieszkała i gdzie umarła. Jeden z przytomnych księży odpowiedział na to zapytanie: „Żyła na zamku odrzykońskim, tam umarła, a tu jest pochowana“.—Ależ przecież ona żyła i umarła w Potoku. — „Ja słyszałem“, dodał jakiś staruszek, „że ona mieszkała tu w Krośnie u swojéj babki, w tym zamku naprzeciw farnego kościoła, zamek zaś odrzykoński należał do Kamienieckich, nie do Oświecimów. Anna Oświecimówna wraz z bratem swym Stanisławem leży tu pod tą kaplicą w trumnie, która po dziś dzień jeszcze jest zapieczętowaną“. Komuż było wierzyć i jak sprawdzić i pogodzić tyle sprzeczności? Poszliśmy do ks. przeora, prosząc o pozwolenie zwidzenia grobów i w nadziei dowiedzenia się czegoś o Stanisławie Oświecimie, który był jednym z dobroczyńców klasztoru. Zaproszono nas na obiadek w refektarzu, i przy kieliszku pogadanka z ojcami poszła dosyć żywo; ale o Stanisławie nie dowiedzieliśmy się ani słowa więcéj prócz tego, że leży odkryty w trumnie obok trumny Anny. Wszedłszy do grobów pod wspaniałą kaplicą fundacyi Stanisława, narachowałem trumien 13, z których dwie bez wieka, jedna jakiegoś Pełki, którego ogromne ciało dotąd nie zniszczało, a w drugiéj spoczywa Stanisław Oświecim. Ciało jego utrzymane jeszcze w całości, ale oczy i policzki zapadłe, głowa włosów pozbawiona, przedstawiają twarz kościotrupa, nie zaś te piękne rysy, jakie w kaplicy widać na obrazie. Reszta ciała zaschła i dochowała po większéj części swoje kształty. Tuż obok na środku sklepu stoi trumna Anny. Trumna ta ma okrągłe okienko nad twarzą zmarłéj, ale szybkę już wyjęła jakaś świętokradzka ręka. Ze zgrozą téż spostrzegliśmy trupią głowę Anny na wieku leżącą, bo kościelne żaki zwykle za parę groszy, dla dogodzenia lekkomyślnéj ciekawości zwidzających, dobywają przez ten otwór jéj kości i szczątki szat. Oglądaliśmy i pieczęć na téj trumnie. Rzecz godna podziwienia, że po upływie dwustu już lat, za zbliżeniem się do otworu trumny, trupi odór czuć się mocno daje.

Tragiczna i tkliwa powieść o zgonie Anny nadzwyczaj silne na moim towarzyszu wywarła wrażenie, i postanowił zbadać bliżéj ciemne podania o Oświecimach. Pojechał więc o parę mil do Potoka, ale tam od właściciela wsi, p. S., żadnéj nie zasięgnął w téj mierze wiadomości; niewiedziano nawet żeby Potok kiedy należał do rodziny Oświecimów. W tak zwanym pałacu, czyli małym zamku naprzeciwko kościoła farnego, w którym do dziś dnia znajdują się starożytne sklepione komnaty, również nic nie odkryliśmy, oprócz herbów żłobionych w kamieniu nad bramą. To jednak zastanawia, że niektóre z tych herbów można także widzieć na grobach młodych Oświecimów. Nie przestaliśmy na tych poszukiwaniach. Dziwne wrażenie, połączone z uczuciem żalu i szczególnéj sympatyi, jaki obraz pięknéj Anny wywarł na moim towarzyszu, nie były bez przyczyny. Późniéj dopiéro dowiedziałem się, że powodem długiego wpatrywania się w obraz Anny i przydłuższego pobytu w Krośnie, było znalezienie w jéj rysach podobieństwa z własną żoną, którą bardzo kochał, a utracił przed kilką laty.

Wybraliśmy się do ruin zamku odrzykońskiego. Idąc coraz w górę ku zamkowi, oglądaliśmy po drodze nader szacowny zabytek starożytności: jest nim kościołek modrzewiowy, wystawiony jeszcze, jak wieść niesie, za żywota św. Wojciecha na tém samém miejscu, gdzie tenże męczennik przodkom naszym wykładał naukę Chrystusową. Uszedłszy blizko milę od Krosna, pod miasteczkiem Korczynem, znaleźliśmy się w tak romantycznéj okolicy, otoczeni takiemi cudami przyrody, że natłok uczuć tamował nam oddech w piersiach. Co za przepyszny widok przy zachodzie słońca! Tu pietrzące się ze skały na skałę ogromne mury starożytnego zamku; tam lasy i opoki, przepaście i doliny, po których rozrzucone wsie i miasteczka wydawały się gniazdami ptasząt, w porównaniu do

---

(*) Drukując zajmującą tę podróż naszego rodaka, dajemy piérwszą jéj połowę bez rysunków; okolice bowiem galicyjskie były już po części w naszém piśmie osobno illustrowane (Lwów, Biecz, Wiśnicz, Olesko, Krasiczyn,) do innych zaś mamy przygotowane materyały, które w czasie właściwym ukażą się z tekstem obszerniejszym. Do opisu zaś Mołdo-Wołoszczyzny, jako kraju obcego, a więc nie mogącego być dla nas przedmiotem oddzielnych artykułów, dołączamy objaśniające drzeworyty. (Przyp. redak.)

wysokości, z któréj zdumieni spoglądaliśmy w około okiem zachwycenia.

Noc zapadła, księżyc posrébrzył oczerniałe mury odrzykońskiego zamku, wypłynął ponad lasy i szczyty gór, a my, przebywając wykutą w skale drogę wiodącą do zamku, podziwialiśmy trzy ogromne urwiska naprzeciw ruin zamkowych, nazwane trzema prządkami. Stoją one na grzbiecie wyniosłéj góry, nad czarnym lasem, oddzielone od zamku przepaścistemi jarami, potokami i kniejami, stoją pochylone ku ziemi, jakby jéj pokłon oddawać chciały.

Uroczysta téż była to chwila dla nas, gdyśmy się zbliżyli do ruin zamku odrzykońskiego. Ponura i głucha cisza nocna, w obec posiwiałych zwalisk, czarnych lasów, przedpotopowych skupisk i olbrzymich szczytów gór, tak silne wywarła na nas wrażenie, żeśmy zaniemieli, a łzy żalu, łzy radości i dumy zrosiły nasze powieki. Jak trupia głowa i żebra szkieletu doczesném są dla nas świadectwem pobytu człowieka na ziemi, tak i zamek odrzykoński istnym dziś kościotrupem stoi na skałach, jako świadectwo znikomej a świetnéj swojéj przeszłości. Ileż to ruchu, gwaru, miłości, roskoszy, żalu i boleści, ileż szczęku oręża i zniszczenia przeszło po tym grodzie starożytnym, w ruinach jeszcze tak pięknym!

Zamek odrzykoński należy do budowli najzuchwalszego pomysłu. Ogromne mury, jakby wrosłe w grzbiety skał granitowych, świécąc pustemi oknami przy blasku księżyca, niewymownie groźną przedstawiają postać. Pod zamkiem stoi jeszcze prawie cała baszta. W jéj narożniku na głazie wykuty herb Kamienieckich, który znajduje się także w kaplicy w Krośnie na tarczy Anny Oświecimówny. Pod zamkiem jest chata, w któréj po dziś dzień mieszka kmiotek, mianujący się z dziada pradziada stróżem zamkowym. Pokazywał nam magiel ze starożytnego drzewa bramy zamkowéj zrobiony i zaspakajał naszę ciekawość różnemi podaniami o Annie i Stanisławie. Słyszał on także od swego ojca i dziada, że Anna, mieszkając w tym zamku, z utęsknieniem oczekiwała przy krosienkach przybycia Stanisława z Rzymu; że otrutą przez własną matkę i domowego lekarza, zastał ją Stanisław po powrocie na katafalku; że matka jéj Barbara, a macocha Stanisława, ze zgryzoty sumienia sama się potém otruła; że Stanisław w Krośnie zbudował rodzinną kaplicę grobową w kościele księży franciszkanów i t. p.

Nazajutrz rano pokazywali nam pasterze średnie okno ostatniego piętra, gdzie stoją po dziś dzień w framugach dwie kamienne ławeczki, na których Anna miała siadywać. Zaiste, te miejscowe powieści o Oświecimach, w obec okazałych ruin i zwalisk zamku, który, według podania, był teatrem ich życia, mają w sobie żywioł wysoko tragiczny. Dziwiliśmy się nadzwyczajnéj zręczności miejscowych pasterzy, którzy byli dla nas przewodnikami po ruinach ogromnego labiryntu odrzykońskiego. Wdzierali się oni po gzymsach i kamieniach, po wystających cegłach i wykruszonych kawałkach muru na sam szczyt zamku, opowiadając nam różne zdarzenia i powieści do niego przywiązane.

Pożegnawszy zamek odrzykoński, stróża jego i przyjacielskich pasterzy, którym skrzypek artysta na odchodne zagrał kilka pieśni góralskich, puściliśmy się do trzech prządek. Skały te, odległe od siebie po dwieście kroków, panują nad odrzykońskiemi lasami; każda z nich jest nagięta ku ziemi, a jedna zwłaszcza, w odległości uważana, ma wielkie podobieństwo do siedzącéj małpy. Wyobraźnia ludowa potrafiła i z tych skał utworzyć zajmujące podanie. Kiedy Chrystus pan, mówi ono, chodził jeszcze po ziemi, przybył także w te strony, gdzie była wtedy wieś obszerna i ludna. Mieszkały w niéj trzy bezbożne niewiasty, które dla zarobku przędły len w niedzielę. Tedy rzekł Chrystus: „Nie godzi się w dzień święty codziennéj odbywać roboty.“ Niewiasty tę przestrogę przyjęły z urąganiem. Aż oto cudem zaczęły rość w górę i kamieniéć, a z niemi i cała wieś skamieniała, jak świadczą rozrzucone pomniejsze urwiska, które miały być niegdyś wieśniaczemi chatami.

Przybyliśmy napowrót do miasta Krosna, gdzieśmy nasze podróżne zostawili przybory, znużeni dwudniową pieszą podróżą wśród upałów nieznośnych, ale zadowoleni z wycieczki, w którejśmy świéżém gór oddychali powietrzem, sycąc wzrok najwspanialszym krajobrozem i pieszcząc wyobraźnią wspomnieniami przeszłości. Towarzysz mój, dziwnym trawiony niepokojem, nie długo spoczywał. Odszukałem go, po przebudzeniu się ze snu głębokiego, w kościele franciszkańskim, gdzie kopiował napisy, daty i herby grobowców Anny, Stanisława i Barbary Oświecimowéj. Nad kaplicą, na marmurowéj wielkiéj tablicy, stoją następne słowa łacińskie, które tu podaję w tłumaczeniu:

Bogu w Trójcy Jedynemu, Najświętszéj Pannie Boga-Rodzicy Błogosławionéj, św. Stanisławowi, biskupowi i męczennikowi, wszystkim świętym patronom i błogosławionym cieniom urodzonéj Anny z Kunowa Oświecimówny, najdroższéj siostry, smutkiem przejęty brat Stanisław z Kunowa Oświecim, Najjaśniejszego Władysława IV króla polskiego i szwedzkiego dworzanin, w dowód wiecznéj, przez śmierć samę nie wygasłéj miłości i żalu, zbudować kazał roku pańskiego 1647.

Znaleźliśmy za ołtarzem szczątki psałterza i ową pieśń: *Dies irae*, z któréj jeden ustęp, umieszczony przez Stanisława pod wizerunkiem Barbary, zdaje się zbrodnią jéj potwierdzać. Wyczytaliśmy tam słowa następujące:

„Sprawiedliwy sędzio mścicielu!
Udziel (jéj) łaski przebaczenia,
Przed dniem ostatecznego sądu.“

Może Stanisław podnosi tu głos błagalny do najwyższego sędziego, o przebaczenie zbrodni matki.

Późniéj przyjaciel mój, zaproszony będąc do Komborni, wsi o parę mil od Krosna oddalonéj, dowiedział się z ust samego właściciela, że Kombornia należała niegdyś do rozległych włości Odrzykonia, majętności Oświecimów, i że darowaną była przez Barbarę lekarzowi domowemu Antonellemu, za podanie trucizny Annie; że Stanisław, odkrywszy tę zbrodnią (zapewne po śmierci matki, która wkrótce nastąpiła), królowi takową wyjawił, proces o odebranie Komborni z Antonellim przeprowadził i wyrok wygnania jego z kraju uzyskał.

Nasyceni tylą wrażeniami i upojeni cudownym widokiem z okolic Krosna, opuściliśmy nareszcie to słynne niegdyś miasto, udając się w bok do Iwonicza. Są to kąpiele w lasach pomiędzy górami, cztéry rożnorodne wody mające, nader skuteczne na skrofuły i inne choroby. W lesie na górze znajduje się sadzawka, Bełkotką zwana, z któréj gaz (wodowęglowy) wychodzący łatwo się zapala i gaśnie dopiéro wtenczas, kiedy się wodę zamąci. Oprócz tego znajdują się tam rurki blaszane zatknięte w ziemię, przez które wydobywający się gaz płonie jak świéca i służy wśród nocy do oświetlania drogi i ścieżek. Cztéry źródła różnoskładowéj wody, do jednego sprowadzone miejsca, zgromadzają tu chorych na leczenie i wesołe pogadanki. Okolice i lasy podkarpackie, żywicznem przepełnione powietrzem, wiele także przyczyniają się do uzdrawiania cierpiących. Źródła te, na wzór zagranicznych urządzone, są własnością hrabiów Załuskich.

Z Iwonicza, jadąc uroczą okolicą, jaką nawet i Szwajcarya poszczycićby się mogła, przybyliśmy do Sanoka. Miasteczko to romantyczném położeniem swojém, porządkiem i czystością zaleca się przed innemi. Liczne pokłady węgla kamiennego zapewne kiedyś wielkiém dla niego staną się bogactwem. Dziś jednak obfitość drzewa z okolicznych lasów jest jeszcze tak wielka, że o węgiel mieszkańcy Sanoka wcale się nie troszczą. Pruscy tylko kupcy i spekulanci robią tu majątki. W Sanoku odbywał niegdyś Władysław Jagiełło zaślubiny swoje z Elżbietą z Pileckich Granowską, od szlachty i magnatów tak niesłusznie znienawidzoną, któréj jedyny dziś pomnik stanowi skromna marmurowa tablica w kaplicy Batorych na zamku krakowskim, jak skromném było jéj życie. W Sanoku wielka jest liczba rzeźbiarzy żydów, wyrabiających z piaskowca i granitu różne nagrobki. Przyjaciel mój dał tu koncert, którego protektorem był W. Trzecieski z Dąbrówki pod Sanokiem. W tym domu, znanym z cnót obywatelskich i gościnności, doznał on tyle współczucia, że miłe na zawsze zachował o nim wspomnienie.

Na drodze z Sanoka do Dobromila zdaleka widzieć się już daje ogromna skała, zwana Kamieniem nad Liskiem, o któréj miejscowe podanie dało osnowę W. Chłędowskiemu do napisania pięknéj powieści wierszem, umieszczonéj niegdyś w *Haliczaninie*.

Dobromil jest miasteczkiem miłém, czystém i chędogiém, leżącém między Sanokiem, Samborem i Przemyślem, a mającém dokoła zacnych i o dobro kraju troskliwych obywateli. Oglądaliśmy tu piękny kościół w stylu gotyckim, zbudowany przez Władysława Jagiełłę, którego portret naturalnéj wielkości znajduje się w téj świątyni. Na wysokiéj, lasem okrytéj górze za miastem, sterczą wspaniałe zwaliska zamku niegdyś Herburtów, którzy szerząc różnowierstwo, posiadali tu własną drukarnią. Z góry téj, panującéj nad całą okolicą, widać w czasie pogody kilkanaście miast i kilkadziesiąt wsi dokoła.

Przy sposobności zboczyliśmy ztąd i do Sambora, pod Karpatami nad Dniestrem położonego. Miasto to jest targowiskiem handlu góralskiego tarcicami, gontami, gwoździmi, żywicą i t. p. Za konfederacyi barskiéj zniszczało przez morowe powietrze, tak iż tylko troje ludzi, jak wieść niesie, pozostało przy życiu. Stoi téż tam pomnik, świadczący o téj okropnéj klęsce miasta. Odznacza się w niém jeszcze starożytnością piękny kościół katedralny. Rozległe przedmieścia Sambora obsadzone są wierzbami, tak iż zdają się być położone w lesie wierzbowym. Zresztą Sambor jest ludny i wesoły; posiada do 10,000 mieszkańców, a widok na Karpaty przecudny.

Cztéry mile za Samborem leży ładne miasteczko Drohobycz, gdzie są warzelnie soli. Uderza tu piękną strukturą kościół fundowany przez Kaźmirza Wgo, mieszczący w sobie obraz tego króla i ojca narodu, w chwili gdy nadaje krajowi prawo wiślickie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NĘDZA.

Duszo młodzieńcza, jeśli uczuć siła
Nad poziom życia unosić cię bedzie,
Jeśli cię natchnień kraina zwabiła,
A myśl fantazji złotą nitkę przędzie,
Gdy ci w tym świecie błogo i uroczo,
Zapał doświadczeń ciemne mgły rozpędza, —
Pomnij że ciebie cierniska otoczą,
Że od natchnienia jest silniejsza—nędza.

Gieniuszu biédny, w twém gorącém łonie
Spoczywa iskra boskiego płomienia,
Dzisiejszość laurem uwieńcza twe skronie,
Wyzłaca zgłoski twojego imienia,
I przyszłe wieki podziwiać cię będą;
Lecz sława twoja, to pajęcza przędza:
Na dumném czole chmury trosk osiędą,
Bo i od sławy jest silniejsza—nędza.

Ołtarz cnych chęci pokryje kir trwogi,
Gmach świetnych myśli skruszy się w zwaliska,
Sławę twą rzucisz przechodniom pod nogi,
By od twojego stronili ogniska;
Głód w tobie z cnotą straszną walkę stoczy,
W pierś się twą wpije wszech występków jędza,
A śmierć moralna zajrzy, niema, w oczy,
Bo i od cnoty jest silniejsza—nędza.

I. Laskarys.

P. Tekli Poznaniance najszczérsze podziękowanie za wiérszyk pełen myśli i uczucia, który wkrótce w piśmie naszém wydrukujemy. Polecamy się nadal sercu Jéj i pamięci.

P. F. z Sz. W. Dziękujemy za słowa zachęty i współczucia. Uwagi pani trafiają zupełnie do naszego przekonania; prosimy tylko wszystkich życzliwych o ułatwienie nam pracy stosownem współdziałaniem.

P. P. Ch. Z otrzymanego dopełnienia wkrótce zrobimy użytek. Wizerunek kardynała H. mamy już wyryty na drzewie, nad życiorysem zaś jego pracuje jeden ze stałych kollaboratorów naszego pisma. Dziękujemy więc na ten raz za pamięć życzliwą i upraszamy o nią nadal.

Nadesłano nam do umieszczenia następujący artykulik:

W Nrze 42 Tygodnika Illustrowanego, pan K. za-

mieścił artykuł o wystawie prac uczniów szkoły sztuk pięknych. Nie będę mówił o jego zdaniu trafném, choć zbyt surowém, względem prac uczniów kursu malarstwa i rzeźby; powiem tylko słów kilka o projektach architektonicznych podanych na konkurs w celu otrzymania patentu. Jako specyalny w zawodzie budownictwa, przeglądam corocznie dokładnie i szczegółowo kompozycye konkursowe, i uważałem, że tegoroczne architektoniczne prace odznaczały się starannością, dobrém wykończeniem i sumiennością. Z zadziwieniem więc wyczytałem zdanie przeciwne p. K., które uważam za stosowne sprostować, nadmieniając: że projekta wychodzących w tym roku uczniów nietylko nie ustępują zeszłorocznym, ale przewyższają je nawet, że kilku z nich, odznaczających się wyższemi zdolnościami, dobrze wywiązało się z trudnego zadania, i że pomiędzy niemi celują właśnie wymienieni przez autora artykułu pp. Karmański i Muklanowicz, z których piérwszy obmyślił szpital na sposób pawilonów odosobnionych, drugi zaś systemem korytarzowym. Zdanie moje podziela wielu z budowniczych, których wymienić mogę, na żądanie autora krytyki.

B. Kowalewski.

Myśli oderwane.

Człowiek pojedynczy i ludzkość cała jeden mają cel swéj pielgrzymki: doskonałością do niéj całemi siłami dążyć powinniśmy. A jednak niejeden odzywa się żeśmy słabi i ułomni, i nigdy nie dosięgniemy szczytu téj doskonałości, któréj sam Bóg jest wzorem—a więc lepiéj wśród tego spruchniałego zwątpienia, obyczajem poziomych płazów, czołgać się po drodze żywota. O leniwi! wystawcie sobie górę wyniosłą, na któréj szczyt ostre prowadzą ścieżki, a cała jéj powierzchnia ubrana w zieloność ogrodów, obfitujących w barwiste kwiaty i przepyszne owoce; a coraz cudniejsze te ogrody, im bliżéj wiérzchołka góry, aż na samym jéj szczycie—raj. A u stóp téj góry rozległy się bagna i kałuże, po których brniesz co krok i zapadasz się coraz głębiéj. Kto zastraszony trudem podróży, która wyczerpie jego siły nim się do szczytu góry dostanie, nie odważy się nawet na piérwszy krok, ten uwięźnie na zawsze w błotnistym padole i nie zazna nawet przedsmaku rajskich słodyczy. Ale jeżeli z młodzieńczą ufnością w swe siły, pójdziemy wszyscy na wyścigi po stromych i skalistych ścieżkach na górę doskonałości, to choć niejeden ustanie w pół drogi, znajdzie się na wstępie ogrodu nie już w błotnistéj kałuży; a komu sił starczy aby szczytu góry dosięgnąć, to bohatér lub święty.

DONIESIENIA.

Nakładem Księgarni Polskiéj

ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki

ulica Miodowa Nr. 482,

wyszedł:

MAŁY SKARBIEC

dla katolików, czyli zbiór modlitw, do których pobożnego odmawiania przywiązane są odpusty. Wydanie ozdobne, *z obrazkami*. Cena złp. 2 (kop. 30). Egzemplarz ozdobnie oprawny, sprzedaje się po złp. 3 gr. 10 (kop. 50.)

Nakładem tejże księgarni, wyszła powieść współczesna pod tytułem:

SKIBA i OSTOJA

przez Henryka *Przybysławskiego*. Cena złp. 4 (kop 60). Sprzedaje się we wszystkich księgarniach krajowych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

KAROLA BERNSTEJNA,

przy ulicy Miodowéj Nr. 6

wprost kościoła OO. Kapucynów,

wyszły dwa poemaciki w jednéj książeczce pod tytułem: Raj i Peri z Tomasza Moora i Ślepa dziewczyna z Castel Cuillé, poemat sielski z Jasmina. Przekłady te dokonał Adam Pajgert znany poeta polski, i jeśli znajdą dobre przyjęcie u czytającéj powszechności, to staraniem będzie nakładcy wydać w ten sposób inne utwory znakomitych poetów zagranicznych. Dla łatwiejszego nabycia, cena za egzemplarz w formacie klejnotów, kop. 20.

Biblioteki popularnéj nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernstejna, wyszedł obecnie z druku nakładem tejże firmy tom XI i obejmuje: Fantazyjną podróż po wszech świecie, przełożył St. Löwenhard. Cena kop. 60. Tom XII: Człowiek i jego odkrycia, w krótce postąpi do druku i zakończy całość dzieła, którego cena przez krótki czas jeszcze pozostanie rs. 6.

KSIĘGARNIA

POD FIRMĄ

E. WENDE et comp.

przy ulicy Senatorskiéj Nr. 2 wprost Dobrycza

odebrała na skład główny dziełko pod tytułem: „O potrzebie banków rolniczych,“ przez Walerego Wielogłowskiego, po kop. 35 jest do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach w Warszawie, oraz u Arcta w Lublinie, u Możdzeńskiego w Kielcach i u Hurtiga i Ruhja w Kaliszu.

NAKŁADEM

LEONA IDZIKOWSKIEGO

Księgarza w Kijowie,

wyszły nowe dzieła i są do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach Warszawskich i na prowincyi; 1) Miód Kasztelański, komedya konkursowa w 5ciu aktach prozą przez J. J. Kraszewskiego. Cena rs. 1.— 2) Pyłki, Adama Maliszkiewicza 16ka, Kijów 1860, kop. 75.— Skład główny powyższych dzieł w Księgarni Henryka Natansona przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17.

WYKAZ CEN

HERBATY CHIŃSKIEJ

dostarczonéj drogą lądową przez Cesarstwo Rosyjskie, i sprzedawanéj w magazynie

WSIEWOŁODA ISTOMINA

w Warszawie, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu przechodnim Rezlera Nr. 451.

HERBATA CZARNA.

Semi-Pałatyńska . .	za funt Rsr.	1.	kop. 20
San-sin-ska. . . .	— —	1	— 50
Familijna	— —	1	— 80
Chumy, z kwiatem 1 gatun.	— —	2	— —

HERBATA KWIECISTA.

Sin ju-chu	za funt Rsr.	2	kop. 40
Sań-ju-kon	— —	2	— 70

Lian-sin z Fuzy-wan-sum-czo. Ten gatunek herbaty ze zbiorów tegorocznych zalecany jest szczególnie przez domy handlowe w Kiachcie, z powodu nader przyjemnego smaku i zapachu . . za funt Rsr. 3 k. 70

Szy-łun-ha-my-ju-kon 1 gat. .	— —	3	— 60
San-sin-siu-fa-en Liansin . .	— —	4	— —
San sin wan sum czo Liansin	— —	5	— —
Chański aromatyczny bukiet	— —	6	— —

HERBATA ZIELONA.

Funt jeden, od 3ch do 6ciu rub. sr.

HERBATA ŻÓŁTA.

Funt jeden, od 6ciu do 25 rub. sr.

Osoby życzące mieć dostarczoną herbatę z mojego magazynu *przez pocztę, nic za przesyłkę nie płacą,* lecz opłacają tylko przesłanie pieniędzy, tak w Królestwie równie jak w Cesarstwie.

Nie obiecuję jak inni handlujący herbatą, odstępować procenty i dodawać rabaty, ale natomiast sprzedawać będę towar sumiennie i za dobroć herbaty zaręczam.

Dla Osób zamieszkałych na prowincyi, starać się będę wysyłać herbatę przez pierwszą odchodzącą pocztę, upakowawszy w mocne skrzynki, dla zabezpieczenia od uszkodzenia w drodze.

Dla kupujących całemi cybikami, herbata dostarczoną będzie zupełnie w takim samym stanie, w jakim odebraną została z Chin.

Osobom zamieszkałym na prowincyi, herbatę na Rsr. 1 kop. 20 i na Rsr. 1 kop 50, magazyn nieodsyła *franco*, lecz na koszt wypisującego, dlatego raczą wyraźnie wypisywać swój adres i miejsce pobytu.

Herbata wydaje się z mojego magazynu w paczkach jedno-funtowych, pół-funtowych i ćwierć-funt. opatrzonych stęplem wyciśniętym na ołowiu, a cena i waga herbaty wydrukowana jest na saméj paczce.

Uwaga. Wiele osób tak w Warszawie jak i na prowincyi zamieszkałych, zgłasza się do Handlu mego w Niedzielę i święta uroczyste. Z tego powodu mam honor objaśnić że w uroczystości podobne Magazyn mój przez cały dzień bywa zamknięty.

Poczestny obywatel,

Wsiewołod syn *Maxyma* **Istomin.**

HEBLARNIE

do zapałek, oraz wszelkiego rodzaju maszyny pomocnicze do wyrobu tychże, poleca szanownéj publiczności.

G. Sebold,

FABRYKANT MACHIN

Durlach pod Karlsruh.

(w Baden).

SKŁAD GŁÓWNY

FARB I LAKIERÓW

J. A. KRAUSSE

ulica Miodowa Nr. 484, wprost Rządu Gubernjalnego, poleca PP. Artystom i Amatorom malarstwa,

PŁUTNO OLEJNE DREZDEŃSKIE

różnych wymiarów,

FARBY OLEJNE drezdeńskie w rurkach, **ANGIELSKIE i PARYZKIE FARBY** miniaturowe w różnych kolorach i wyborowych gatunkach, w pudełkach różnéj wielkości.

PĘDZLE LYOŃSKIE I BERLIŃSKIE

do wszelkiego rodzaju malarstwa w rozlicznych gatunkach.

Różnéj wielkości i kształtu

FILTRY Z WĘGLA PLASTYCZNEGO,

które u publiczności zyskały powszechne przyjęcie, powtórnie w znacznym transporcie nadeszły; oraz ZELATYNA STĘŻONA zastępująca kléj rybi, do prędkiego klarowania piwa, wódki, wina i innych płynów, nadto:

PROSZEK PERSKI ŚWIEŻY

i do niego bardzo praktyczne

MIESZKI Z GUTAPERCHY

są do sprzedania w tymże Składzie głównym.

Szwajcarskie oryginalne LIEBEROWSKIE ZIOŁA ZDROWIA

(Lieberische Gesundheits-Kräuter.) Znane oddawna z nader pomyślnych skutków przeciwko wyniszczeniu ciała, suchotom płucowym, kaszlowi, katarowi, bólom piersi w różnych rodzajach, zaflegmieniu i t. p. dolegliwościom; działania których są pomocnemi każdéj płci i wiekowi, a kuracya któremi w każdéj porze, szczególnie letniéj, miejsce mieć może, otrzymał obecnie świeże Skład rozmaitości Piotra Dąbrowskiego, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 385 (46) i takowe w paczkach pół-funtowych opieczętowanych wraz z przepisem użycia jak przychodzą, sprzedaje. Osobom na prowincyi i w Cesarstwie zamieszkałym, przesyłkę pocztą jak najakuratniéj załatwia. Tamże jest do zbycia Gazeta Warszawska komplet z 20tu lat, tojest od 1 kwietnia 1840 roku do t. m. 1860 roku, oraz dzieła dramatyczne Bogusławskiego i inne teatralne.

ZAKŁADY TECHNICZNE

LUDWIKA SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek,

zaopatrzony został przyodpowiedniéj porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

i

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach. FARBY te, jak również i LAKIERY, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniéj nawet obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególniéj zastosować się dają do robót dla osób zamieszkałych na prowincyi, gdzie większa trudność w dokładném przyrządzeniu takowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdém naczyniu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

„Grand hôtel de belle Vue“

w mieście Bonn n. Renem

przy samym brzegu Renu, w blizkości kolei żelaznéj i przystani statków parowych, poleca się wspaniałém i nader zdrowém położeniem swojém, czarującym widokiem na góry i nadreńską okolicę, zarazem eleganckiém urządzeniem wszelkich wygód i wzorową usługą przy umiarkowanych cenach.

Bonn w maju 1860 r. N. *Stamm*, wdowa.

HAVANNA CYGARY.

Pole cając mój skład odleżałych zagranicznych cygar, zawiadamiam niniejszém, iż w każdym czasie przesyłam szanownym interessentom oprócz próbek i cennika, złożoną z dziesięciu różnych gatunków cygar, tak zwaną dziesiętną próbę, za nadesłaniem 6 talarów.

Między innemi zalecam szczególniéj:

La Veneciana	Comunos	w	1/4	opakowanych po	26	tal. prusk. kur. p. Mille.
El Fandango	„	„	5/5	„	„ 34—42	„	„
Cabanas y Carbayal	Londres	„	2/2	„	„ 30—36	„	„
„	„ medio Regalia	„	10/10	„	„ 45	„	„
El Rifle	Londres	„	10/10	„	„ 38	„	„
La Semiramis	„	„	40/40	„	„ 44	„	„
Martinez e Hijo	Imperiales	„	10/10	„	„ 150	„	„

Dla porządku należytość niezałączona przy obstalunku, odbiera się przez post-forszus.

BERNHARD BARUCH

w Hamburgu.

W Drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa dnia 30 lipca (11 sierpnia) 1860 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek